

ALFRED HITCHCOCK

**TAJEMNICA
SZEPCZĄCEJ MUMII**

PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożyła: ANNA IWAŃSKA)

Wprowadzenie Alfreda Hitchcocka

Za chwilę ujrzycie Trzech Detektywów znowu w akcji. Tym razem rozwiązują zagadkę szepczącej mumii. Szepcze ona tylko do jednego człowieka. Jesteście zaciekawieni?

Jeśli spotkaliście już wcześniej tych tropicieli zagadek i tajemnic, nie traćcie czasu na czytanie wstępu. Odwróćcie stronę i zacznijcie rozdział pierwszy.

Jeśli zaś stykacie się z nimi dopiero teraz, pozwólcie że powiem wam o nich kilka słów. Trzej Detektywi to: Jupiter Jones, Pete Crenshaw i Bob Andrews. Jakiś czas temu stworzyli oni zespół detektywistyczny.

Jupiter jest mózgiem zespołu. Muszę powiedzieć, że ma ogromny talent dedukcyjny, ale nieco brak mu skromności. Bob prowadzi całą dokumentację i wynotowuje z prasy i książek wszystkie potrzebne informacje. Przyjął skwapliwie te obowiązki, gdyż dzięki swej pracy w bibliotece ma dostęp do książek. Pete jest bezcenny dla Jupitera, zwłaszcza kiedy potrzebna jest jego siła i zręczność.

Chłopcy mieszkają w Kalifornii, w Rocky Beach, mieście na wybrzeżu Pacyfiku, oddalonym o kilkanaście kilometrów od Hollywoodu. Są tu wszędzie tak wielkie odległości, że niezbędny jest samochód. Żaden z chłopców nie jest dość dorosły, by mieć prawo jazdy, ale udało im się rozwiązać ten problem. Jupiter wygrawszy konkurs otrzymał jako nagrodę prawo do używania przez trzydzieści dni wspaniałego rolls-royce'a wraz z szoferem.

Jeśli Trzej Detektywi nie są akurat w rozjazdach, można ich spotkać w Kwaterze Głównej. Jest to odpowiednio przerobiona przyczepa kempingowa, znajdująca się na terenie składu złomu, prowadzonego przez ciotkę i wuja Jupitera, Matyldę i Tytusa Jonesów. Chłopcy urządzili sobie w przyczepie małe biuro, laboratorium i ciemnię i wyposażyli je w urządzenia, które sami zмайstrowali z rupieci trafiających do składu. Przyczepa jest ukryta między stertami rozmaitych odpadów i prowadzą do niej sekretne przejścia, które tylko oni znają i w których tylko oni się mieszczą.

Jeszcze jedno. Kiedyś wysłałem Trzech Detektywów tropem jąkającej się papugi. Zdobyli wtedy ptaka, którego tu spotkacie.

I chciałem jeszcze wyjaśnić, że pisuję tajemnicze powieści i zgodziłem się przedstawić w nich przypadki, które rozwikłują chłopcy, a także zawiadamiać ich o nie rozwiązanych jeszcze zagadkach, które sam spotykam.

Na razie dość już wyjaśnień. Słuchajcie uważnie, niebawem mumia zacznie szeptać.

Alfred Hitchcock

ROZDZIAŁ 1

Emocjonujący list

- Ratunku! Ratunku! - wołał dziwny, skrzeczący i pełen przerażenia głos. - Ratujcie, proszę!

Trzej detektywi - Jupiter Jones, Pete Crenshaw i Bob Andrews - słyszeli bardzo dobrze te przejmujące wołania, ale ich treść nie robiła na nich najmniejszego wrażenia. Krzyczała bowiem ich żywa maskotka - wytresowany ptak o imieniu Sinobrody, który od czasu pomyślnego zakończenia ostatniej przygody stał się ich towarzyszem. Był to ptak niezwykły - w lot chwycił różne słowa i zdania, zapamiętywał je i powtarzał później z upodobaniem.

Pani Matylda Jones, ciotka Jupitera, popatrzyła na Sinobrodego krzyczącego w klatce zawieszanej na pałuku.

- Jupiter! - zawołała. - Ten ptak stanowczo za często ogląda telewizję. Naśladuje teraz kogoś z filmów kryminalnych!

- Pewnie tak, ciociu - przytaknął Jupiter sapiąc przy tym z wysiłku, bo właśnie podnosił stare drzwi frontowe. - Gdzie je mam postawić?

- Obok innych drzwi. Chłopcy, przestańcie się obijać! Mamy jeszcze tak dużo do zrobienia, a czas ucieka!

Ale Trzem Detektywom czas wcale nie uciekał tak szybko. Pytanie, ile pracy, prowadzonej pod nadzorem pani Matyldy, mogą wykonać trzej chłopcy w upalny dzień - nie było dla nich dostatecznie intrygujące. Eksperymentowanie na własnej skórze, jak na nie odpowiedzieć, było akurat tym, czego woleliby uniknąć. Pani Matylda, duża, energiczna kobieta, w gruncie rzeczy sama prowadziła skład złomu Jonesa. Jej mąż Tytus dokonywał wszystkich zakupów dla składu i przeważnie był w podróży.

Zdarzały się dni, i to niestety dość często, kiedy pani Matylda czuła nieodpartą potrzebę zrobienia w składzie gruntownych porządków. Wówczas ani Jupiter, ani jego przyjaciele nie mogli się wymigać od pracy. Czyścili wtedy różne przedmioty, przesuwali paczki z materiałami budowlanymi i marzyli tylko o jednym - by znaleźć się w Kwaterze Głównej, czyli ukrytej wśród złomu starej przyczepie kempingowej, i móc pracować nad nową pasjonującą zagadką. Ostatni sukces nappełnił ich wiarą we własne zdolności detektywistyczne, może nawet zbyt silną wiarą.

Pani Matylda nie dała im jednak ani chwili wytchnienia, dopóki listonosz nie wjechał

swym małym, trzykołowym pojazdem przez główną bramę składu. Wrzucił plik listów do staromodnej, żelaznej skrzynki na listy, zawieszonej na drzwiach biura i odjechał.

- O, Boże! - wykrzyknęła pani Matylda. - Na śmierć zapomniałam, że wuj zostawił do wysłania list polecony!

Z przepaścistej kieszeni wyłowiła lekko pogniecioną kopertę. Wygładziła ją nieco i podała Jupiterowi.

- Jedź natychmiast na pocztę i nadaj ten list. Masz tu pieniądze. Pośpiesz się, może uda ci się wysłać go jeszcze poranną pocztą.

- Na pewno zdążę, ciociu. Tymczasem Pete i Bob bardzo chętnie mnie zastąpią. Ostatnio narzekali na brak porządnej pracy.

Udając, że nie słyszy prychnięcia z oburzenia kolegów, Jupe wskoczył na swój rower, śmignął przez bramę i pomknął jak strzała drogą wiodącą do miasta.

Pani Jones zaśmiała się.

- W porządku, chłopcy, macie wolne. Możecie teraz robić, co wam się podoba, majstrować albo zrobić sobie zebranie za tą kupą gratów.

Tu wskazała na stertę rozmaitego złomu i sprzętów, które pieczołowicie ułożone skrywały warsztat Jupitera na świeżym powietrzu, a także, o czym pani Matylda nie wiedziała, Kwaterę Główną. Po czym odwróciła się i podeszła do skrzynki na listy.

- Przejrzę teraz tę pocztę - powiedziała. - Może przyszło coś do Jupitera? Zdaje się, że ostatnio pisał w sprawie próbek jakichś przedziwnych rzeczy.

Chłopcy zadowoleni, że nadszedł wreszcie upragniony kres ich pracy, ochoczo podeszli do pani Matyldy, która wyciągnąwszy listy zaczęła je przeglądać.

- Zaproszenie na aukcję, rachunek, czek za stary bojler, hmm... - wsunęła trzy listy pod ramię i wertowała następne. - Znowu rachunek, pocztówka od mojej siostry Susan, reklama superkorzystnej możliwości osiedlenia się na Florydzie - ta ostatnia przesyłka wywołała wesoły uśmiech na twarzy pani Matyldy. Spojrzała na następny list. - Hmm... - mruknęła ponownie i także wsunęła go pod ramię.

Dalej przeglądała listy. Dwa były do Tytusa, prawdopodobnie zamówienia na jakieś specjalne artykuły. Skład Jonesa był bowiem powszechnie znany jako miejsce, w którym można dostać rzeczy niezwykle i trudne do znalezienia gdzie indziej. Na przykład już od pewnego czasu Tytus miał do sprzedania stare organy z piszczałkami. Niekiedy wieczorem wychodził na podwórze i grał na nich pieśń "Uśpiony w głębinie". Zaraz zjawiali się Hans i Konrad, dwaj bracia z Bawarii pracujący w składzie jako kierowcy ciężarówek, i wtórowali organom swymi melancholijnymi głosami.

Przy ostatnim liście pani Jones pokręciła głową:

- Nie, nie ma nic dla Jupitera. - Kierując się już w stronę biura, nagle odwróciła się do chłopców. Po chochlikach w jej oczach zorientowali się, że przekomarza się z nimi. - Są jednakże - powiedziała z ociąganiem - dwa listy zaadresowane do "Trzech Detektywów". To wasz nowy klub, prawda?

Jakiś czas temu chłopcy założyli "Klub Miłośników Zagadek", gdyż bardzo interesowali się rozwiązywaniem wszelkich łamigłówek. Dzięki temu Jupiter wziął udział w konkursie zorganizowanym przez agencję wypożyczającą samochody "Wynajmij auto i w drogę". Wygrał ten konkurs, a jako nagrodę otrzymał możliwość korzystania przez trzydzieści dni z autentycznego rolls-royce'a wraz z szoferem.

Mając do dyspozycji samochód, chłopcy natychmiast przekształcili swój klub w zespół "Trzech Detektywów", by móc przystąpić do rozwiązywania prawdziwych, życiowych zagadek, jakie im się tylko nadarzą.

Jednakże pani Jones, roztargniona we wszystkim, co nie było związane ze składem, zdawała się nie dostrzegać tak istotnej zmiany w działalności chłopców. Żadne wyjaśnienia nie mogły zmienić jej raz powziętego mniemania i w końcu chłopcy, przewidując z góry przebieg rozmowy, zaniechali dyskusji.

Teraz Pete wziął od niej listy, próbując ukryć podekscytowanie. Pani Jones weszła do biura, a chłopcy skierowali się ku swojej kwaterze.

- Nie popatrzymy nawet, od kogo są, póki nie znajdziemy się u siebie - powiedział z przejęciem Pete. - Z tego może wyniknąć całkiem poważna sprawa.

- Słusznie - zgodził się Bob. - Wreszcie będę mógł zacząć prowadzić kartotekę korespondencji. Mam już od dawna wszystko przygotowane, ale dotąd nie otrzymywaliśmy żadnych listów.

Przeciskali się przez sterty złomu, aż znaleźli się w warsztacie Jupitera. Był on wyposażony w tokarkę, świder, piłę tarczową i małą prasę drukarską oraz inne użyteczne przedmioty. Wszystkie te urządzenia trafiły do składu uszkodzone, w formie złomu i Jupiter wraz z kolegami doprowadził je ponownie do użytku. Skład otaczał wysoki płot z desek, a szeroki na półtora metra dach nie tylko zabezpieczał bardziej wartościowe przedmioty, ale osłaniał również pracownię. Były tu także różne plastikowe płachty na wypadek ulewnych deszczów.

Kawał karbowanej rury wentylacyjnej o niemałej średnicy zdawał się blokować wyjście z pracowni. Jednakże, kiedy chłopcy zdjęli ukrytą za prasą drukarską żelazną kratę, ukazał się otwór w murze. Wczołgali się do jej wnętrza, ponownie zakryli otwór i na

czworakach przeszli około dziesięciu metrów jej długości. Rura biegła częściowo pod ziemią, częściowo pod stertą bezużytecznych belek stalowych, a jej koniec znajdował się dokładnie pod starą kempingową przyczepą, którą chłopcy przekształcili w swoją Kwaterę Główną.

Pan Jones doszedł do wniosku, że nie uda mu się jej sprzedać i podarował ją chłopcom.

W podłodze przyczepy była kłapa, która otwierała się do góry. Chłopcy podnieśli ją i zgrabnie wśliznęli się do środka, do maleńkiego biura wyposażonego w uszkodzone w pożarze biurko, kilka krzeseł, szafkę na akta, maszynę do pisania i telefon. Na biurku stał staromodny odbiornik radiowy. Jupiter podłączył mikrofon telefonu do jego głośnika, by wszyscy mogli równocześnie słuchać rozmów telefonicznych. Poza tym część przyczepy chłopcy przerobili na maleńką ciemnię, miniaturowe laboratorium i umywalkę.

Przyczepa ze wszystkich stron otoczona była stertami złomu, wewnątrz panował więc mrok. Pete zapalił umieszczoną nad biurkiem lampę. Usadowiwszy się wygodnie chłopcy zabrali się do czytania listów.

- Słuchajcie! - wykrzyknął Pete. - Ten jest od Alfreda Hitchcocka! Zaczniemy od niego.

Bob był również podekscytowany. Alfred Hitchcock jednak do nich napisał! To musi dotyczyć jakiejś zagadki! Pan Hitchcock przyrzekł, że jeśli tylko natknie się na jakąś tajemniczą sprawę, wymagającą ich pomocy, da im znać.

- Zostawmy ten list na koniec - zaproponował Bob. - Jest na pewno bardzo interesujący. Zresztą chyba powinniśmy poczekać na Jupe'a?

- Po tym, jak starał się zwalić na nas całą pracę w składzie? - powiedział z urazą Pete.
- Chciał, żeby pani Jones nas zamęczyła. Zresztą, to ty prowadzisz dokumentację, a to obejmuje także wszystkie listy.

Bob zgodził się z Pete'em co do zakresu swoich kompetencji. Wziął jednak do rąk ten drugi, prawdopodobnie mniej interesujący list. Obracając w palcach kopertę powiedział:

- Wiesz co? Spróbujmy najpierw wydedukować coś bez czytania listu. Jupe mówi, że powinniśmy ćwiczyć dedukcję przy każdej okazji.

- Co możesz powiedzieć o liście, jeśli nie znasz jego treści? - zapytał sceptycznie Pete.
Ale Bob, jakby nie słysząc wątpliwości kolegi, dokładnie oglądał kopertę z obydwu stron. Była koloru jasnoliliowego. Powąchał ją. Miała zapach bzu. Potem spojrzął na złożoną kartkę papieru listowego. Była również liliowa i tak samo pachniała, a u góry widniał obrazek przedstawiający dwa bawiące się kotki.

- Hmm... - zamruczał Bob i podniósł palec do czoła w sposób sugerujący głębokie

zastanowienie. - Zaczynam chwytac... Autorka listu jest kobieta w wieku... no, okolo piecdziesiatki. Jest pulchna, farbuje wlosy i prawdopodobnie duzo mowi. Ma bzika na punkcie kotow. Jest dobrodusznna i czasami troche niedbala. Zazwyczaj bywa pogodna, ale piszac ten list wyraźnie czymś się martwiła.

Pete wytrzeszczył oczy.

- Bomba! - wykrzyknął. - To wszystko wydedukowałeś tylko z koperty i papieru?

- Pewnie - odpowiedział Bob nonszalancko. - Zapomniałem jeszcze dodać, że ma duzo pieniędzy i działa w organizacjach charytatywnych.

Pete wziął kopertę i list i zaczął przyglądać się im uważnie. Wkrótce błysk olśnienia pojawił się w jego oczach.

- Kotki na papierze listowym wskazują na to, że prawdopodobnie lubi koty - powiedział. - Fakt, że nierówno oderwała znaczek i krzywo go przykleiła, świadczy, że jest troche niedbala. Linie jej pisma biegną do góry, jest to charakterystyczne dla osób o pogodnym usposobieniu. Pod koniec listu jednak linie te zaczynają się pochylać, co wskazuje na to, że ową panią ogarnęło jakieś zmartwienie i pewnie poczuła się nieszczęśliwa.

- Tak jest - powiedział Bob. - Dedukcja jest prosta, jeśli przestawisz swoje myślenie na odpowiednie tory.

- I jeśli masz takiego Jupe'a, który cię tego uczy - dodał Pete.

- No dobrze, ale powiedz mi jeszcze, skąd wiesz, w jakim jest wieku, jakiej tuszy, że farbuje wlosy, jest gadatliwa, ma duzo pieniędzy i działa w instytucjach charytatywnych. Trzeba być chyba Scherlockiem Holmesem, żeby to wszystko odgadnąć.

- No więc dobrze - powiedział Bob ze śmiechem. - Adres wskazuje, że nadawczyni mieszka w Santa Monica, w dzielnicy bardzo drogich domów. Kobiety stamtąd są raczej zamożne i działają w instytucjach charytatywnych, bo, jak mówi moja mama, nie pracują, a chcą czymś się zajmować.

- Zgoda, ale co w takim razie z wiekiem, tuszą i z tym, że duzo mowi i farbuje wlosy?
- nie ustępował Pete.

- No więc zauważ, że używa pachnącego bzem liliowego papieru i zielonego atramentu. Może nie wiesz, że takie kolory i zapachy uwielbiają starsze panie. Jeśli mam być z tobą szczerzy do końca, to muszę ci powiedzieć, że mam ciotkę, która używa dokładnie takiego samego rodzaju papieru. A ponieważ ma ona pięcdziesiąt lat, jest okrągła, gadatliwa i farbuje wlosy, to sobie pomyślałem - tu wziął list do ręki i spojrzal na podpis nadawczyni - że pani Banfry jest pewnie do niej podobna.

Pete roześmiał się.

- Nieźle to sobie wykombinowałeś, chociaż to tylko domysły. A teraz zobaczmy, co jest w liście.

Pochylił się nad nim i zaczął czytać:

Drodzy Trzej Detektywi. Moja bardzo bliska przyjaciółka, panna Waggoner z Hollywoodu, opowiedziała mi, w jaki sposób odnaleźliście jej zaginioną papugę. - Małą Bo-Peep...

W tym momencie Bob wyjął Pete'owi list z ręki. Najwyraźniej pani Banfry знаła ich ostatnią niezwykłą przygodę - tajemnicę jękającej się papugi.

- Ja prowadzę dokumentację - przypomniał.

Bob miał kłopoty z nogą wskutek nieszczęśliwego wypadku w dzieciństwie. W związku z tym nie mógł brać udziału w niektórych pracach kolegów. Dlatego też do jego obowiązków należało gromadzenie dokumentacji, wynajdywanie potrzebnych wiadomości w książkach i prasie oraz robienie notatek.

- Listy należą do mnie. W każdym razie pod nieobecność Jupe'a. Więc ja będę czytał, dobrze?

Pete mrucał coś pod nosem, ale ustąpił. Bob przyjął wygodniejszą pozycję i szybko odczytał list. Sprawa była prosta. Pani Banfry miała ogromnie cennego kota abisyńskiego o imieniu Sfinks, którego bardzo kochała. Tydzień temu Sfinks zaginął. Policja nie mogła go odnaleźć, więc pani Banfry dała ogłoszenia do gazet, ale nie przyniosło to oczekiwanego rezultatu. Tak więc Trzej Detektywi są jej przysłowiową ostatnią deską ratunku. Mając na uwadze ich błyskotliwe działania w sprawie odnalezienia papugi, pokornie prosi, by odszukali jej drogiego kota.

Będzie im bardzo zobowiązana. List kończyły słowa: *z głębokim poważaniem - Mildred Banfry.*

- Zaginiony kot - powiedział Pete w zamyśleniu. - No, to też jakaś sprawa. Wygląda na miły, spokojny przypadek nie szarpiący nerwów. Zatelefonuję do niej i powiem, że to bierzemy.

- Poczekaj! - Bob zatrzymał Pete'a sięgającego już po telefon. - Może zobaczymy najpierw, co ma dla nas pan Hitchcock?

- Masz rację, zapomniałem - zreflektował się Pete. A Bob rozciął podłużną kopertę, wyjął z niej list z wydrukowanym u góry nazwiskiem nadawcy i zaczął głośno czytać. Już po pierwszym zdaniu zamilkł. Pozerając wzrokiem kolejne linijki, zapoznał się z całą treścią

listu. Skończywszy popatrzył na Pete'a wielkimi oczami.

- Niesamowite! - wykrzyknął. - Przeczytaj! Nigdy byś nie uwierzył, gdybym sam ci o tym opowiedział. Pomyślałbyś, że blefuję.

Zaintrygowany Pete wziął list. Kiedy skończył czytać, popatrzył na Boba z ogromnym i nieukrywanym zdumieniem.

- Coś takiego... - wyszeptał.

Następnie zadał pytanie, które każdy, kto nie czytał listu, uzna za dość dziwne:

- Jak może szeptać mumia, która ma trzy tysiące lat?

ROZDZIAŁ 2

Szept mumii

List Alfreda Hitchcocka dotyczył zdumiewających i niesamowitych wydarzeń, znacznie odbiegających od tych, z jakimi dotychczas spotykali się Trzej Detektywi.

W odległości jakichś dwudziestu pięciu, może trzydziestu kilometrów od Rocky Beach i składu Jonesa, wzgórze otaczające Hollywood przecięte są niewielkim kanionem. Na jego zboczach usadowiło się kilka zamożnych i rozległych posiadłości, obsadzonych pięknymi drzewami i krzewami. Jedną z nich jest stara rezydencja w hiszpańskim stylu. Właściciel, profesor Robert Yarborough, znany egiptolog przerobił jedno skrzydło budynku na prywatne muzeum.

W tej części domu przeważały wysokie, od podłogi po sufit, okna wychodzące na taras. W słońcu późnego popołudnia w sali muzealnej przy zamkniętych oknach było nieznośnie gorąco i duszno. Kilka posągów pochodzących ze starych egipskich grobowców stało w pobliżu okien. Jeden z nich, wykonany z drewna, przedstawiał Annubisa - boga starożytnego Egiptu. Miał korpus człowieka, a głowę szakala. Cień głowy padający na podłogę, tworzył granatową plamę o osobliwym kształcie, sprawiającą dość niesamowite wrażenie.

Cała sala zastawiona była cennymi przedmiotami pochodzącymi ze starożytnych grobowców egipskich. Na ścianach wisiały metalowe maski, które zdawały się znacząco uśmiechać, jakby znały wszystkie sekrety swoich czasów. W szklanych gablotach wystawiono gliniane tabliczki, złotą biżuterię, skarabeusze rzeźbione w nefrycie przez artystów z tamtej epoki.

W pobliżu okien ustawiono także drewniany sarkofag z zamkniętym wiekiem, na którym wyryty był wizerunek mumii znajdującej się wewnątrz. Pozbawiony ozdób w rodzaju złotych liści czy barwnych malowideł, które czyniłyby go bardziej okazałym, sprawiał wrażenie zwykłej skrzyni. Była to jednak trumna mumii, trumna kryjąca tajemnicę. I była to duma profesora Roberta Yarborougha - małego, nieco pulchnego mężczyzny w okularach w złotej oprawie i z kocią bródką dodającą mu powagi.

Za młodu profesor Yarborough, prowadził wiele ekspedycji naukowych w Egipcie. Odkrył wówczas grobowce wykute w zboczach skał. Odnalazł w nich mumie dawno zmarłych faraonów i ich żon, wraz z biżuterią i innymi przedmiotami. Wszystkie te skarby wystawił w swoim muzeum, a o swoich odkryciach właśnie pisał książkę.

Sarkofag z mumią nadszedł przed tygodniem, chociaż profesor odkrył go całe dwadzieścia pięć lat temu. Zaraz potem jednak zajął się inną, trudną wyprawą. Wypożyczył więc mumię do muzeum w Kairze. Kiedy przeszedł na emeryturę, zwrócił się do rządu egipskiego z prośbą o odesłanie mu mumii. Teraz, dysponując wolnym czasem, mógł zająć się wyjaśnieniem tajemnicy z nią związanej.

Pewnego popołudnia, dokładnie dwa dni przed nadejściem listu od Alfreda Hitchcocka do Trzech Detektywów, profesor Yarborough stał w swoim muzeum i stuknął nerwowo ołówkiem w pokrywę sarkofagu. Był z nim jego kamerdyner Wilkins, wysoki i chudy mężczyzna pracujący od lat w rezydencji.

- Jest pan pewien, że chce pan ponownie spróbować, mimo wczorajszego szoku? - zapytał.

- Muszę sprawdzić, czy to się powtórzy - odparł zdecydowanie profesor. - A ty, Wilkins, proszę, pootwieraj okna. Nie cierpię, jak się je zamyka.

- Tak, proszę pana - i Wilkins otworzył na oścież najbliższe okna. Wiele lat temu profesor był przez dwa dni zatrzaśnięty w grobowcu i odtąd nie znosił zamkniętych pomieszczeń.

Następnie Wilkins podszedł do sarkofagu, zdjął wieko i oparł o skrzynię. Wraz z profesorem pochylił się nad jego wnętrzem.

Niektórzy ludzie nie lubią widoku mumii, chociaż nie ma w nim nic odrażającego. Ciała zmarłych władców i dostojników starożytnego Egiptu zanurzano w smole bitumicznej i innych konserwujących substancjach, po czym szczelnie owijano lnianą tkaniną. Dzięki temu przetrwały całe wieki w stanie niemal nienaruszonym. Ciała konserwowano po to, by zapewnić zmarłym godne przejście do innego świata, zgodnie z wierzeniami religijnymi. Wraz z ciałem chowano też różne przedmioty należące do zmarłego, na przykład biżuterię, żeby mógł on jej używać w przyszłym życiu.

Sarkofag w muzeum profesora Yarborougha wykonano dla mumii Ra-Orhona. Lniany kokon spowijający ciało był częściowo odsłonięty tak, że widoczna była twarz zmarłego. Niemłoda już i subtelna wydawała się wyrzeźbioną z ciemnego drewna. Usta były lekko rozchylone, jakby chciały coś powiedzieć. Oczy pozostawały zamknięte.

- Ra-Orhon wygląda bardzo spokojnie. Nie sądzę, żeby dzisiaj chciał coś panu powiedzieć.

- Mam nadzieję, że nie - odparł profesor. - W końcu to nie jest normalne, Wilkins, żeby mumia człowieka zmarłego przed trzema tysiącami lat mówiła, czy tylko nawet szeptała. To absolutnie nienormalne.

- Rzeczywiście, jest to co najmniej dziwne - zgodził się kamerdyner.

- Jednakże wczoraj, kiedy byłem z nim sam, naprawdę do mnie szeptał. Szeptał w nieznany mi języku, ale brzmiało to jak ponaglanie, jak nakłanianie do czegoś, co powinienem zrobić.

Pochylił się nad mumią i powiedział:

- Ra-Orhonie, jeśli chcesz do mnie mówić, słucham cię. Będę starał się zrozumieć.

Minęła minuta, potem druga. Słysząc było jedynie brzęczenie muchy. Profesor wyprostował się.

- Być może się przesłyszałem. Tak, jestem pewien, że to tylko moja wyobraźnia. Wilkins, proszę, przynieś mi małą piłę z pracowni. Mam zamiar odpiłować kawałek sarkofagu. Mój przyjaciel Jenings z Uniwersytetu Kalifornijskiego spróbuje ustalić datę pochowania Ra-Orhona, poddając próbki drewna testowi przy użyciu węgla radioaktywnego.

- Tak jest, proszę pana.

Kamerdyner oddalił się.

Profesor obchodząc skrzynię dookoła ostukiwał ją, by zdecydować, skąd wyciąć potrzebny kawałek drewna. Wydało mu się, że w jakimś miejscu słyszy pusty dźwięk, w innym - przytłumiony, jakby drewno było tam spróchniałe. Nagle uświadomił sobie, że słyszy jakieś pomrukiwanie, dobiegające z wnętrza skrzyni. Wyprostował się przestraszony. A jednak... Po czym szybko przybliżył ucho do ust mumii,

Mumia znowu do niego szeptała! Słowa wydobywające się z lekko rozchylonych warg wypowiedane były przez Egipcjanina nieżyjącego od trzech tysięcy lat.

Nie rozumiał ich. Były to szorstkie i syczące sylaby, wypowiedane tak cicho, że profesor musiał wyteżać słuch. Niemniej, w intonacji zdawały się być coraz bardziej natarczywe tak, jakby mumii bardzo zależało na uświadomieniu czegoś profesorowi.

Ogarnęło go niesłychane podniecenie. Mumia szeptała prawdopodobnie w języku staroarabskim. Od czasu do czasu profesorowi zdawało się, że nawet rozumie jakieś słowo.

- Mów dalej, Ra-Orhonie! - zachęcał. - Staram się zrozumieć.

- Słucham, proszę pana?

Profesor podskoczył przestraszony. Za jego plecami stał Wilkins trzymający w ręku piłę.

- Wilkins! - wykrzyknął profesor. - Mumia znowu szeptała! Zaczęła, jak tylko wyszedłeś, a przestała, kiedy wróciłeś.

Wilkins w skupieniu zmarszczył czoło.

- Wygląda na to, że mówi tylko wtedy, gdy jest z panem sam na sam - stwierdził. -

Czy rozumiał pan, co powiedziała?

- Właściwie nie - mruknął profesor. - Próbowałem, ale nie jestem lingwistą. Wydaje mi się, że mówi w języku staroarabskim albo w jakimś narzeczu hetyckim lub chaldejskim.

Wilkins odwrócił się w stronę okien. Jego spojrzenie zatrzymało się na położonym na przeciwległym zboczu kanionu nowym budynku, ozdobionym białymi stiukami.

- Pana przyjaciel, profesor Freeman - powiedział wskazując ręką dom - jest wielkim autorytetem w dziedzinie języków Środkowego Wschodu. Mógłby tu przyjechać w pięć minut. Gdyby Ra-Orhon zechciał do niego przemówić, pewnie by go zrozumiał.

- Rzeczywiście! - zawołał profesor. - Muszę natychmiast z nim porozmawiać. Jego ojciec był ze mną wtedy, kiedy właśnie znalazłem Ra-Orhona. Biedny człowiek, został zamordowany na bazarze w tydzień po moim odkryciu. Zatelefonuj do profesora Freemana, Wilkins, i poproś w moim imieniu, żeby zaraz przyjechał.

- Tak jest, proszę pana.

Ledwie kamerdyner zdążył wyjść z sali, dał się słyszeć niezrozumiały szept.

Profesor słuchał z wielką uwagą, usiłując zrozumieć cicho wypowiedane słowa. Po chwili jednak z zalem zrezygnował. Spojrzał przez otwarte okno na kanion dzielący go od miejsca zamieszkania młodego kolegi - profesora Johna Freemana. Z muzeum dobrze było widać jego dom usytuowany na stromym zboczu, sporo poniżej drogi. Profesor Yarborough przy nieustającym szepcie mumii obserwował kolegę wychodzącego właśnie bocznymi drzwiami z domu. Widział, jak wchodzi po schodach do garażu i w chwilę później - jak jedzie swoim samochodem wąską drogą wokół krawędzi kanionu.

Nagle mumia zamilkła. Profesor zaniepokoił się. Czyżby miała zaniechać swojego szepotu akurat wtedy, kiedy być może ktoś mógłby ją zrozumieć?

- Mów, Ra-Orhonie - prosił. - Ja ciebie słucham i staram się zrozumieć.

Po chwili mumia znowu zaczęła szeptać. Profesor usłyszał odgłos zatrzymującego się przed domem samochodu. Wreszcie drzwi otworzyły się i ktoś wszedł do sali.

- Czy to ty, John?

- Tak. Co się stało? - spytał wchodzący miłym, niskim głosem.

- Podejdź tu jak najciszej. Chcę, żebyś czegoś posłuchał - a kiedy przyjaciel był już przy nim, zawołał: - Ra-Orhonie! Nie przerywaj! Mów!

Lecz mumia nie wydawała z siebie żadnego dźwięku. Leżała równie niema, jak w czasie tych trzydziestu wieków, które upłynęły, nim znalazła się w muzeum profesora.

- Nie bardzo rozumiem - odezwał się profesor Freeman. Był szczupłym, średniego wzrostu mężczyzną o pogodnej twarzy i włosach przyprószonej siwizną. - Wygląda na to,

że właśnie rozmawiałeś z mumią?

- Rozmawiałem! - niemal wykrzyknął starszy profesor. - Ściślej mówiąc to ona szeptała do mnie w nieznanym języku i miałem nadzieję, że to przetłumaczysz, ale przestała, jak tylko wszedłeś. Albo...

Urwał, bo nagle spostrzegł w jaki sposób młodszy kolega na niego patrzy.

- Nie wierzysz mi, prawda? - zapytał - Nie wierzysz, że Ra-Orhon do mnie szeptał?

Profesor Freeman tarł podbródek.

- Trudno w to uwierzyć... - powiedział wreszcie. - Oczywiście, gdybym sam słyszał...

- Spróbujmy - Yarborough ponownie pochylił się nad mumią. - Ra-Orhonie, odezwij się. Będziemy się starali cię zrozumieć.

Profesorowie czekali, ale na próżno. Mumia uparcie milczała.

- Nic z tego - westchnął profesor Yarborough. - Zapewniam cię, że szeptał, on nie chce mówić, gdy jestem z kimś. A taką miałem nadzieję, że go zrozumiesz i wszystko mi przetłumaczysz.

Profesor Freeman próbował udawać, że wierzy słowom kolegi, ale było oczywiste, że uważał tę sytuację za nieprawdopodobną.

- Bardzo pragnąłbym pomóc... - powiedział i w tym momencie zobaczył małą piłę. - Co ta piłka tu robi?! Chyba nie zamierzałeś przepiłować Ra-Orhona?!

- Nie, nie - zapewnił profesor. - Chciałem tylko odpiłować kawałek sarkofagu, żeby ustalić, chociaż w przybliżeniu, datę pochowania Ra-Orhona.

- Chcesz uszkodzić tak cenny zabytek?! - wykrzyknął młodszy profesor. - Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne.

- Nie jestem pewien, czy Ra-Orhon jest taki cenny, jest tylko tajemniczy. W każdym razie test jest potrzebny, ale odłożę go do czasu wyjaśnienia tego zagadkowego szeptu. Szczerze mówiąc, John, czuję się w tej chwili zbity z tropu. Mumia przecież nie może szeptać. A ta nie dość, że to robi, to jeszcze szepcze tylko do mnie.

- Hmm... - Profesor Freeman zmarszczył czoło, pragnąc ukryć ogarniające go współczucie. - Może chciałbyś, żebym wziął Ra-Orhona na parę dni do siebie? Być może znów zacznie mówić, gdy zostanie sam na sam, tym razem ze mną? Gdybym zdołał go zrozumieć, wszystko dokładnie bym ci powtórzył.

Profesor Yarborough popatrzył na niego przenikliwie.

- Dziękuję ci, John - powiedział wyniośle. - Widzę, że żartujesz sobie ze mnie. Uważasz, że mam halucynacje. No więc dobrze. Może masz rację... Dlatego zatrzymam tu Ra-Orhona, dopóki nie upewnię się, że to szeptanie nie jest wytworem mojej wyobraźni.

Freeman na znak zgody lekko skinął głową.

- Gdyby znowu zaczął mówić, proszę, daj mi natychmiast znać. Zostawię wszystko i przyjadę. Teraz, niestety, spieszę się. Mam konferencję na uniwersytecie.

Pożegnał się i wyszedł. Profesor nie ruszał się z miejsca. Czekał. Ale Ra-Orhon milczał. Po chwili do sali zajrzał Wilkins.

- Czy podać obiad, proszę pana?

- Tak, Wilkins, i pamiętaj, nie mów nikomu nic o tym, co tu się wydarzyło.

- Rozumiem, proszę pana.

- Reakcja Freemana uświadomiła mi, co powiedzieliby moi uczeni koledzy, gdybym próbował przekonać ich, że mumia Ra-Orhona szepcze. Pewnie by pomyśleli, że cierpię już na uwiad starczy. Wyobraź sobie, co by to było, gdyby ta cała historia trafiła do prasy? Moja reputacja naukowa zostałaby zaprzepaszczone!

- Pewnie tak, proszę pana - przyznał Wilkins.

- Muszę jednak z kimś o tym porozmawiać. - Profesor przygryzł wargi. - Z kimś, kto nie jest naukowcem, a nie wątpi w to, że na tym świecie jest wiele tajemnic. Już wiem. Dziś wieczorem zatelefonuję do mojego przyjaciela Alfreda Hitchcocka. On na pewno nie będzie drwił ze mnie.

Faktycznie. Alfred Hitchcock nie drwił. Natomiast napisał, jak widzieliśmy, list do Trzech Detektywów.

ROZDZIAŁ 3

Jupiter próbuje czytać w myślach

- Jak mumia może szeptać? - Pete powtórzył swoje pytanie.

Ale Bob tylko pokręcił z niedowierzaniem głową. Chłopcy dwukrotnie przeczytali list. Gdyby nadawca nie był Alfredem Hitchcockiem, uznaliby to za niezły żart. Pan Hitchcock podkreślał, że profesor Yarborough jest przygnębiony zagadkowym zachowaniem się mumii i oczekuje szybkiej pomocy.

- Ale tak poważnie - ciągnął Pete - to jak w ogóle mumia może mówić? Mumia to mumia, to w końcu nie człowiek - przebiegł palcami po swych ciemnobrązowych włosach. - To znaczy, to był człowiek, ale...

- Ale umarł - wyprzedził go Bob. - Nie możesz się pogodzić z myślą, że choć wszystkie mumie są martwe, jedna z nich mówi.

- Pewnie, że nie mogę. - Pete ponownie wziął list i zaczął go studiować. - Profesor Robert Yarborough, znany egip... egip...

- Egiptolog.

- Egiptolog. Mieszka w Hunter Canyon, w pobliżu Hollywoodu. Ma prywatne muzeum. W nim trzyma mumię, która tylko do niego szepcze. Nie jest w stanie jej zrozumieć. Ta sytuacja zaczyna go coraz bardziej rozstrajać nerwowo. No, nie dziwię się. Na samą tylko myśl o tym czuję lekkie zdenerwowanie. Nie chciałbym mieć do czynienia z żadną gadającą mumią. Byliśmy już uwikłani w zbyt wiele fatalnych tajemnic. Dajmy odpocząć trochę naszym nerwom. Pojedźmy do Santa Monica i zajmijmy się poszukiwaniem kota.

Bob wziął do ręki list pani Banfry.

- Czy wiesz, który przypadek wybierze Jupe?

- Wiem - odparł Pete patrząc spode łba na Boba. - Zaraz po przeczytaniu listu od pana Hitchcocka zatelefonuje do "Wynajmij auto i w drogę", by przysłali Worthingtona z samochodem. Oczywiście po to, żeby odwiedzić profesora Yarborougha. Ale w końcu możemy głosować. Będą dwa głosy za sprawą kota, a jeden za mumią.

- Wiesz, że Jupe'a bardzo trudno przekonać - powiedział Bob. - Próbowaliśmy już przy sprawie "Straszliwego zamku" i pamiętasz, co z tego wyszło?

- Pamiętam - odparł ponuro Pete.

- Ciekawe, gdzie on się podziewa? Już dawno powinien wrócić.

- Rozejrzyjmy się - zaproponował Pete. - Peryskop do góry!

Wstał i podszedł do umieszczonej w kącie biura rury od pieca, o niewielkim przekroju, z zainstalowanymi wewnątrz, pod odpowiednim kątem lustrami. Zakończona kolankiem przebijała ona dach przyczepy na wylot i wystawała dość znacznie nad jego powierzchnię. Na dole przymocowane były do niej dwie małe rurki spełniające rolę uchwytów. Przypominała dolną część peryskopu z łodzi podwodnej. Był to rzeczywiście rodzaj peryskopu niezdarnie zbudowanego przez Jupitera, okazał się jednak bardzo skuteczny.

Kwatera Główna, dzięki swemu położeniu pośród stert starannie ułożonego złomu, była ukryta przed światem zewnętrznym. Miało to jednak i pewną wadę. Spędzając sporo czasu w przyczepie, chłopcy tracili zupełnie orientację w tym, co się działo na zewnątrz. Peryskop nazwany "Wszystkowidzącym" miał w pewnym stopniu nadrobić tę stratę.

W tych okresach, kiedy nie był używany, dzięki temu, że w dachu umieszczony był obok otworu wentylacyjnego, robił wrażenie zwyczajnej rury od pieca.

Pete Crenshaw, wysoki i muskularny, manipulował Wszystkowidzącym tak długo, aż jego wierzchołek znalazł się nad najwyższym punktem złomowiska. Następnie obracał go, kręcąc się przy tym w kółko, dopóki nie obejrzał wszystkiego, co znajdowało się w zasięgu Wszystkowidzącego.

- Pani Jones sprzedaje jakieś rury hydraulikowi - zdawał relację. - Hans ustawia jakieś graty. O! Jest Jupe! - zatrzymał peryskop. - Idzie pieszo, prowadząc rower. Chyba miał jakieś kłopoty... tak, widzę, że przednia opona siadła.

- Pewnie najechał na gwóźdź - domyślił się Bob - dlatego tak długo nie wracał. Czy wygląda na rozeźlonego?

- Nie! Słucha sobie tranzystora i uśmiecha się. To dziwne... Jupe nie znosi, kiedy coś nawala, nawet jeśli miałyby to być tylko opona. Wiesz, zawsze mówi, że to obniża jego sprawność. Lubi planować z dużym wyprzedzeniem, by potem wszystko szło jak po maśle.

- Jupe jest świetny w planowaniu - powiedział Bob. - Wolałbym jednak, żeby nie używał tylu trudnych słów. Czasami nawet ja mam kłopoty ze zrozumieniem tego, co mówi.

- A kto nie ma? - mruknął Pete. Obracał wolno peryskopem tak, jak wymagał tego rozwój sytuacji na zewnątrz. - Teraz Jupe przechodzi przez bramę. Podaje coś pani Jones. Ona wskazuje w naszą stronę i kiwa głową. Pewnie mówi, że jesteśmy w warsztacie. Teraz Jupe wchodzi do biura. Ciekaw jestem, co tam robi? Jeszcze nie wyszedł. No, wreszcie idzie.

- Chodź, pożartujemy sobie trochę z niego - zaproponował Bob. - Schowamy list pana Hitchcocka i pokażemy mu tylko ten od pani Banfry. Niech pogłótkuje trochę nad planem odnalezienia kota. Co ty na to? Potem pokażemy mu list o profesorze Yarboroughu i jego

mumii.

- I oczywiście powiemy, że nie możemy zająć się tą sprawą, zanim nie odszukamy zaginionego kota - chichotał Pete. - Pobawimy się. Teraz moja kolej na ćwiczenie dedukcji.

Czekali. Po chwili usłyszeli, jak Jupe zdejmuje żelazną kratę zamykającą Drugi Tunel, czyli wielką karbowaną rurę - ich przejście do Kwatery Głównej.

Pete szybko obniżył peryskop i usiadł przy biurku. Teraz słyhać było głucho dudnienie rury wskazujące na to, że Jupe jest w trakcie pokonywania Drugiego Tunelu. Po chwili charakterystyczne szturchnięcie w klapę przyczepy zapowiedziało oczekiwanego gościa. Wreszcie kłapa uniosła się i chłopcy zobaczyli Jupe'a.

Jupiter Jones był krępy, silnym chłopcem o czarnych włosach i ciemnych, bystrych oczach. Miał typowo chłopięcą twarz o różowej cerze, kiedy jednak wypręzał się i wysuwał do przodu podbródek, mógł sprawiać wrażenie starszego, niż był w rzeczywistości. Jednocześnie też czasami, dla wprowadzenia kogoś w błąd, przybierał niedbałą postawę i robił odpowiednią minę, udając grubego i niezbyt roztropnego chłopca.

- Uff - sapnął - gorąco na dworze.

- Niezbyt dobry dzień na złapanie gumy - powiedział Pete.

- Skąd wiesz? - Jupe spojrzał na niego.

- Dedukcja - odparł Pete. - Ćwiczyliśmy z Bobem dedukcję, tak jak nam poleciłeś.

Prawda, Bob?

- Zgadza się - skinął głową Bob. - Musiałeś iść spory kawał prowadząc rower.

Jupe zaczął im się uważnie przyglądać.

- Rzeczywiście - powiedział. - Czy moglibyście mi przedstawić przesłanki waszej dedukcji? Chciałbym sprawdzić poprawność waszych procesów mózgowych.

- Naszych co?

- Naszego myślenia - wyjaśnił Pete'owi Bob. - Powiedz mu, Pete.

- W porządku - zgodził się Pete. - Wyciągnij ręce.

Jupiter pokazał obie dłonie. Były brudne. Na jednej widać było niewyraźny ślad, być może po oponie rowerowej.

- Co dalej? - spytał Jupe.

- Twoje prawe kolano - zaczął Pete - jest zakurzone. Musiałeś klęczeć na ziemi. Masz brudne ręce i ślad opony na jednej z nich. Dedukcja w tym przypadku jest prosta: klęknąłeś, by sprawdzić oponę w rowerze. To narzuca podejrzenie, że mogła być przebita. Buty masz mocno zakurzone, a więc musiałeś przejść spory kawał drogi pieszo. To są podstawowe rzeczy, drogi Jupe.

Byłaby to rzeczywiście dedukcja na niezłym poziomie, gdyby nie to, że najważniejsze fakty akurat Pete widział przez peryskop. Jupe zdawał się jednak pozostawać pod wrażeniem poprawności ich rozumowania.

- Bardzo dobrze - powiedział. - Takich zdolności nie powinno się marnować na szukanie kota.

- Co?! - wykrzyknęli jednocześnie Pete i Bob.

- Powiedziałem, że tak dobrze opanowana umiejętność dedukcyjnego rozumowania nie powinna być marnowana na tropienie abisyńskiego kota, który nagle zniknął - Jupe lubował się nie tylko w używaniu mądrych słów, ale też w przyjmowaniu oficjalnego tonu, za czym akurat nie przepadali Bob i Pete.

- W istocie, detektywi waszej miary powinni poświęcić się większym sprawom, takim jak na przykład tajemnica mającej trzy tysiące lat mumii, szepczącej w nieznanym języku zagadkową wiadomość do swojego odkrywcy.

- Skąd wiesz o mumii? - prawie krzyknął Pete?

- Podczas gdy wy ćwiczyliście dedukcję - odparł Jupiter - ja wprawiałem się w czytaniu w myślach. Bob, masz w kieszeni list z adresem pana Yarborougha. Telefonowałem już po Worthingtona i samochód. Powinien być za dziesięć minut. Teraz zadzwonimy do profesora i zaoferujemy mu naszą pomoc w rozwiązaniu tajemnicy związanej z szepczącą mumią.

Pete i Bob oniemiaли ze zdumienia wpatrywali się bezmyślnie w Jupe'a.

ROZDZIAŁ 4

Klątwa mumii

W pół godziny później Pete po raz piąty z kolei zadał pytanie:

- Skąd wiedziałeś o liście pana Hitchcocka, w którym pisze o profesorze Yarboroughu i jego mumii?

Jupiter westchnął.

- Jeśli nie wierzycie, że potrafię czytać w myślach, musicie sobie radzić sami - powiedział. - Użyjcie swojej niezawodnej dedukcji. Dopiero co daliście jej wspaniały pokaz, więc po prostu kontynuujcie.

Ta odpowiedź wpędziła Pete'a w milczenie. Bob nastroszył się: Jupe znowu okazał się lepszy od nich. Ale chyba w swoim czasie powie im, skąd wiedział o listach. Nagle Bob poczuł się szczęśliwy, że od samego początku uczestniczy w czymś, co zapowiadało się - i jak się później miało okazać rzeczywiście było - na tajemnicę na tyle nadzwyczajną i niesamowitą, że mogła zainteresować każdego detektywa.

Trzej chłopcy zajmowali tylne siedzenie dużego, staroświeckiego rolls-royce'a. Dzięki niemu mogli pokonywać rozległe tereny Południowej Kalifornii. Samochód wiózł ich szybko i komfortowo przez wzgórza oddzielające Rocky Beach od północnej części Hollywoodu.

- Jupe - zaczął Bob, rozpięrając się na wygodnym siedzeniu - co zrobimy, gdy minie trzydzieści dni i trzeba będzie oddać samochód? Używaliśmy go już przez trzynaście dni.

- Niestety, przez piętnaście, panie Andrews - poprawił Boba szofer Worthington, wysoki, szczupły Anglik. Podczas wspólnych wypraw związała się między nim a Trzema Detektywami serdeczna przyjaźń. - Wliczając już dzisiejszy dzień. Podejrzewam, że fatalnie odczuję brak wrażeń, kiedy nie będę już miał przyjemności wożenia was.

- Zostało więc tylko piętnaście dni - westchnął Pete.

- Dwa plus dwa nie zawsze daje cztery - odpowiedział tajemniczo Jupe. - Piętnaście i piętnaście nie zawsze musi równać się trzydzieści.

- Worthington, proszę zatrzymać się w tym miejscu.

Znajdowali się nieco poniżej szczytu jednego ze wzgórz otaczających Hollywood. W tym miejscu łączył się z drogą prywatny podjazd. Po jego obu stronach stały kamienne słupy. Do jednego z nich przymocowana była tabliczka z nazwiskiem Yarborough. Podjazd prowadził w dół po zboczu kanionu do rozległej posiadłości, obsadzonej gęsto drzewami i krzewami. Spomiędzy nich przebijała czerwień dachu rezydencji w starohiszpańskim stylu.

Za budynkiem z bocze kanionu było już bardzo strome. Na przeciwległym zboczu widać było inne posiadłości z domami położonymi na różnych wysokościach.

- To jest droga do domu profesora Yarborougha - powiedział Jupiter. - Oczekuje nas, bo zawiadomiłem go telefonicznie o naszym przyjeździe. Proszę więc wjechać na podjazd. Nie mogę już doczekać się spotkania z tą mumią. Może do nas przemówi?

- Lepiej, żeby nic nie mówiła - mruknął Pete. - Nie chciałbym być w pokoju z żadną gadającą mumią. Osobiście wcale się nie dziwię profesorowi, że jest przygnębiony.

Profesor Yarborough był w tym momencie nawet bardzo przygnębiony. Siedział w fotelu na tarasie i popijał gorący bulion, który podał mu Wilkins.

- Powiedz mi, Wilkins - pytał profesor - czy czekałeś znowu ostatniego wieczoru, tak jak cię prosiłem?

- Tak, proszę pana. Byłem z Ra-Orhonem, aż zrobiło się zupełnie ciemno. Raz zdawało mi się, że coś słyszę...

- Tak! I co?

- Niestety, to było tylko urojenie.

Wziął z rąk profesora pustą filiżankę i podał mu serwetkę.

- Coś się ze mną dzieje, Wilkins - powiedział profesor wycierając usta. - Tej nocy nie mogłem spać. Chodziłem półprzytomny, a serce mocno mi waliło. Ta cała tajemnica rozstraja mnie nerwowo.

- Rzeczywiście, jest to ogromnie denerwujące - przyznał Wilkins. - Czy rozważył pan...

- Rozważyłem co? Co chcesz powiedzieć, Wilkins?

- Chciałem tylko spytać, czy nie myślał pan o przesłaniu Ra-Orhona do Egiptu? W ten sposób uwolniłby się pan od tego męczącego...

- Nie! - przerwał mu brutalnie profesor. - Owszem, jest wiele rzeczy, których nie rozumiem, ale dopóki ich nie wyjaśnię, nie poddam się, zdecydowanie nie! Mam nadzieję, że niebawem otrzymam pewną pomoc.

- Detektyw, proszę pana? Myślałem, że nie chce pan, by cokolwiek z tej historii dotarło do policji.

- I nie dotrze. To godni zaufania prywatni detektywi, których polecił mi mój przyjaciel Alfred Hitchcock. - Melodyjny dźwięk dzwonka od drzwi frontowych przerwał rozmowę. - To mogą być oni. Proszę, pospiesz się, Wilkins, i poproś ich tutaj.

- Tak jest, proszę pana.

Kamerdyner wszedł do domu i zaraz powrócił z trzema chłopcami: krępym i

czarnowłosym, wysokim i muskularnym i drobnym, w okularach, lekko utykającym, z nogą ujętą w usztywniający aparat. Profesor zmarszczył czoło.

Jupiter zaraz to odczuł. Pan Yarborough oczekiwał kogoś starszego. Szybko więc wyprężył się maksymalnie, wysunął brodę i od razu nabrał bardziej dojrzałego wyglądu. Wyjął z kieszeni wizytówkę i podał profesorowi.

Ten przeczytał:

<p style="text-align:center">TRZEJ DETEKTYWI Badamy wszystko ??? Pierwszy Detektyw Jupiter Jones Drugi Detektyw Pete Crenshaw Dokumentacja i analizy Bob Andrews</p>
--

i zadał pytanie, które stawiali niemal wszyscy:

- Co oznaczają te znaki zapytania? Mogłyby wręcz budzić wątpliwości co do waszych talentów detektywistycznych.

Bob i Pete wymienili uśmiechy. Znaki zapytania były czymś w rodzaju ich kodu wymyślonego przez Juve'a, i dlatego postanowili zrobić z nich swój znak firmowy. Dzięki tym znakom porozumiewali się. Kiedy któryś z nich był w jakimś miejscu i chciał o tym poinformować kolegów, rysował tam znak zapytania kredą w odpowiednim kolorze. Jupiter używał kredy białej, Bob zielonej, a Pete niebieskiej. Dzięki różnym kolorom było oczywiste, który z nich zostawił znak.

- Znak zapytania - Jupiter zaczął jak najbardziej oficjalnym tonem - najogólniej mówiąc symbolizuje wszelkie pytania, nierozwiązane zagadki, niewyjaśnione tajemnice. Mógłby być równie dobrze symbolem dochodzenia. Dlatego uczyniliśmy z niego nasz znak firmowy. Podejmiemy się każdej sprawy, którą zechce nam pan powierzyć. Nie możemy gwarantować sukcesu, ale zapewniamy, że zrobimy wszystko, co będzie w naszej mocy, by ostatecznie rozwiązać nawet najtrudniejsze zadanie.

- Hmm - profesor bawił się w zamyśleniu wizytówką. - Gdyby nie ta deklaracja, kazałbym Wilkinsowi odprowadzić was do drzwi. Dobrze wiem, że nikt nie powinien przyrzekać sukcesu w żadnym przedsięwzięciu. Ale rzeczywiście, sukces często bywa po prostu następstwem rzetelnych starań.

Zamilkł, przyglądając się im uważnie. W końcu skinął głową.

- To Alfred Hitchcock mi was polecił. Ufam jego sądom. Z oczywistych powodów nie

mogę zawiadomić policji. Nie mogę też zwrócić się o pomoc do prywatnego detektywa, bo pomyśli, że mam świra, mówiąc waszym językiem. Koledzy po fachu po cichu może i współczuliby mi, ale publicznie pewnie by rozgłaszali, że jestem stetryczalym starcem. Natomiast trzech chłopcy z wyobraźnią, bez uprzedzeń... Tak, mam przeczucie, że jeśli w ogóle można dojść do sedna tej sprawy, to tylko wy możecie to zrobić.

Wstał z fotela i skierował się ku muzeum. - Chodźcie – powiedział - pokażę wam Ra-Orhona i możemy zaczynać.

Jupe poszedł za nim, a Boba i Pete'a zatrzymały drżące dłonie Wilkinsa. Na jego twarzy malował się niepokój.

- Chłopcy - zaczął - zanim wplączecie się w tajemnicę tej mumii Ra-Orhona, powinniście jeszcze o czymś wiedzieć.

- O czym? - zapytał Pete pochmurniejac.

- Cięży nad nią klątwa - Wilkins zniżył głos. - Przekleństwo rzucone na grobowiec, dotykające każdego, kto do niego wejdzie i zakłóci spokój Ra-Orhona. Niemal wszyscy członkowie pierwszej ekspedycji zmarli w sposób nagły i gwałtowny. Profesor nie przyzna, że to klątwa odebrała im życie. Jego zdaniem nie ma żadnych podstaw naukowych do tego, by tak sądzić. Poza tym dotąd klątwa nie działała na niego. Ale teraz ma tę mumię u siebie w domu i jestem pełen obaw. Nie o siebie się lękam, ale o niego, a teraz i o was, chłopcy.

Pete i Bob wpatrywali się w twarz kamerdynera. Nie mieli wątpliwości - on na pewno nie żartował. W tym momencie nadszedł Jupe.

- Na co czekacie? Chodźcie! - zawołał.

Pospieszyli za nim i przez drzwi tarasowe weszli do sali muzealnej. Profesor podszedł do sarkofagu, zdjął wieko i wskazując na wnętrze skrzyni powiedział:

- To jest Ra-Orhon, i mam nadzieję, naprawdę mam nadzieję, że pomożecie mi dowiedzieć się, co on chce mi przekazać.

Od twarzy Ra-Orhona w kolorze mahoniu bił spokój. Chociaż... przyglądając się jego zamkniętym oczom, chłopcy odnieśli dość niesamowite wrażenie, że powieki zaraz się podniosą.

Jupiter oglądał mumię z dużym zainteresowaniem. Natomiast Bob i Pete oddychali z trudem. To nie wygląd mumii wywoływał w nich takie reakcje. Chodziło o to, co usłyszeli od kamerdynera. Już sama szepcząca mumia była wystarczająco niesamowitym zjawiskiem, a co dopiero szepcząca mumia z ciężącym nad nią przekleństwem! Wymienili spojrzenia. Pete miał bardzo niewyraźną minę.

- Daj spokój - powiedział stłumionym głosem. - Tym razem Jupe naprawdę nas

wrobił.

ROZDZIAŁ 5

Nagle niebezpieczeństwo

Jupiter bardzo uważnie przyglądał się Ra-Orhnowi. Profesor Yarborough ocierał chusteczką pot z czoła.

- Wilkins - powiedział - otwórz okna. Przecież wiesz, że nie znoszę, jak są zamknięte.

- Tak, proszę pana - kamerdyner otworzył szeroko okna i momentalnie dało się odczuć wyraźny powiew wiatru, który wywołał lekkie drżenie masek wiszących na ścianach.

Jupiter przerwał oglądanie mumii i podniósł głowę, słuchając delikatnych dźwięków.

- Czy to nie było właśnie to, co pan słyszał, profesorze? - spytał. - Dźwięk wywołany powiewem wiatru?

- Nie, nie, mój chłopcze. Z łatwością odróżniam przypadkowe odgłosy od ludzkiej mowy. Mumia zdecydowanie szeptała.

- W takim razie wyeliminujmy fakt, że coś mogło wprowadzić pana w błąd - powiedział Jupiter. - Możemy przyjąć za pewnik, że słyszał pan mowę. Mógł to być język staroarabski, mógł być jakiś inny...

- Czy mam jeszcze coś zrobić, panie profesorze? - przerwał Wilkins. - Czy mogę udać się do swoich obowiązków?

Wszyscy popatrzyli na niego. Nagle jego oczy rozszerzyły się z przerażenia. Rzucił się całym ciałem na profesora krzycząc:

- Uwaga!

Upadli razem na podłogę, a tuż za nimi runął drewniany posąg Annubisa - boga z głową szakala, stojący dopiero co przed otwartym oknem. Upadł dokładnie tam, gdzie przed chwilą stał profesor. Przetoczył się na bok i można było odnieść wrażenie, że gdyby mógł, zawarczałby na profesora.

Profesor i Wilkins, wstrząśnięci tym, co przed chwilą się stało, podnieśli się z podłogi, spoglądając przy tym na przewrócony posąg.

- Widziałem, jak zaczął się przechylać - drżącym głosem mówił Wilkins. - Wiedziałem, że się przewróci. Mógł pana przygnieść i mocno zranić - przełknął głośno ślinę. - To klątwa rzucona na Ra-Orhona i jego grobowiec. Przywędrowała tu za nim.

- Nonsens! - zaprotestował profesor, otrzepując z kurzu ubranie. - Klątwa to tylko historia wzięta z gazet. Lord Carter niewłaściwie zrozumiał napis na grobowcu. To zwykły przypadek, że posąg Annubisa upadł w ten sposób.

- Statua ta nie przewracała się przez trzy tysiące lat - Wilkins mówił cicho, zachrypniętym głosem. - Dlaczego akurat teraz upadła? Mogła pana bardzo poważnie zranić albo nawet zabić. Lord Carter, kiedy...

- Lord Carter zginął w wypadku samochodowym - przerwał mu ostro profesor. - Możesz odejść, Wilkins.

- Tak, proszę pana - kamerdyner skierował się ku drzwiom, ale Jupiter zatrzymał go.

- Panie Wilkins, powiedział pan, że zauważył pan, jak rzeźba zaczęła się przewracać. Proszę to sprecyzować.

- Po prostu zaczęła się przechylać do przodu - odparł Wilkins. - Kiedy krzyknąłem, była już pod niebezpiecznym kątem, tak, jakby... no, tak, jakby zamierzała się na profesora.

- Wilkins! - krzyknął jego pracodawca z oburzeniem.

- Ale tak to wyglądało! Działąłem, jak mogłem najszybciej. Dobrze, że zdążyłem.

- Tak, jestem ci bardzo wdzięczny - powiedział profesor - ale nie mówmy więcej o klątwie.

W chwili, kiedy wypowiedział ostatnie słowo, złota maska zsunęła się ze ściany i z głośnym łoskotem upadła na podłogę.

- Pan... pan widzi, co się dzieje? - pytał coraz bledszy kamerdyner.

- To podmuch wiatru - odpowiedział profesor, ale już z mniejszą pewnością siebie. - Przewrócił Annubisa i zrzucił maskę ze ściany.

Jupiter przykucnął przy drewnianym posągu i zaczął dotykać ze wszystkich stron kwadratowej podstawy, przyglądając się jej uważnie. Próbując ją podnieść stwierdził:

- Ta podstawa sama w sobie jest bardzo ciężka, proszę pana. Nie jest ani spaczona, ani uszkodzona. Nie wiem, jak silny musiałby wiać wiatr, żeby zdołał ją przewrócić.

- Młody człowieku - odparł na to profesor - jestem naukowcem. Nie wierzę w żadne klątwy ani złe duchy. Jeśli mamy współpracować, dobrze byłoby, żebyś o tym pamiętał.

Jupiter wyprostował się.

- Ja również w nie nie wierzę - powiedział poważnie - ale faktem jest, że w ciągu pięciu minut, z nie wyjaśnionej przyczyny, wydarzyły się tutaj dwa wypadki.

- Zbieg okoliczności - skwitował profesor. - Wracając jednak do mumii, powiedziałeś, że wierzysz w jej szept. Może masz jakąś teorię na temat szeptania bądź co bądź martwych ciał?

Jupiter skubał dolną wargę. Bob i Pete dobrze wiedzieli, co to oznacza. Ich kolega nastawiał swój umysł na najwyższe obroty.

- Mam pewną teorię, proszę pana.

- Naukową? - zapytał profesor. - Żaden hokus-pokus? - Jego mała bródka poruszała się rytmicznie, kiedy wypowiadał poszczególne słowa.

- Tak, bardzo naukową. - Jupe zwrócił się do Boba i Pete'a: - Idźcie poprosić Worthingtona, żeby wyjął skórzaną torbę z bagażnika. Mam w niej pewien sprzęt, który chciałbym wypróbować.

- Wskażę wam drogę - zaofiarował się Wilkins. Zostawili Jupe'a z profesorem i podążyli za kamerdynerem długim hallem do drzwi frontowych, przed którymi zaparkowany był rolls-royce.

- Chłopcy - szepnął kamerdyner, gdy tylko znaleźli się za drzwiami - profesor jest bardzo uparty. Nigdy nie uzna mocy klątwy, a sami widzicie, co się dzieje. Następnym razem może zostać zabity on albo któryś z nas. Proszę, przekonajcie go, by wysłał Ra-Orhona z powrotem do Egiptu!

Po czym zamilkł zostawiając chłopców w rozterce.

- Być może Jupe nie wierzy w klątwy - powiedział Pete - i nie mówię, że ja wierzę, ale coś mi się zdaje, że najlepiej będzie, jak się stąd czym prędzej wyniesiemy.

Bob nie odzywał się. W zasadzie on także nie wierzył w prastare klątwy, ale z drugiej strony działały się dziwne rzeczy, więc kto wie...

Worthington, jak zwykle gdy nie miał nic innego do roboty, polerował błyszczącą karoserię rolls-royce'a. Gdy chłopcy podeszli bliżej, przerwał pracę.

- Skończone, chłopaki?

- Dopiero się zaczyna - odparł złowieszczo Pete. - Tym razem mamy do czynienia ze starożytną klątwą egipską i trudno przewidzieć, co z tego wyniknie. Teraz musimy wyjąć z bagażnika skórzaną torbę.

- W każdej chwili gotów jestem obronić Jupitera przed egipską klątwą - powiedział Worthington i podał Pete'owi płaską skórzaną teczkę. - Pewnie o nią chodzi. Jupiter prosił, żebym ją schował w bagażniku i nikomu o niej nie mówił.

Pete i Bob ruszyli w drogę powrotną.

- Ciężka ta teczka. Ciekawe co w niej jest. Założę się, że Jupe szykuje jakąś niespodziankę.

- Może bierze odwet za nasze udawanie, że sami rozszyfrowaliśmy przyczynę jego spóźnienia? - głośno zastanawiał się Bob.

Weszli do muzeum. Jupe z profesorem podnosili właśnie posąg Annubisa, by postawić go na swoim miejscu. Gdy statua była już w pozycji pionowej, Jupe zaczął przesuwać ją po podłodze, kręcąc przy tym z niedowierzaniem głową.

- Potrzeba by naprawdę dobrej zawieruchy, żeby to zwalić - mówił. - Absolutnie nie mógł tego zrobić lekki podmuch wiatru.

Profesor zmarszczył swoje krzaczaste brwi

- Chcesz powiedzieć, że jednak działały tutaj jakieś nadprzyrodzone siły?

- Nie wiem, co spowodowało upadek posągu - odpowiedział uprzejmie Jupiter - ale mogę zademonstrować panu działanie, w efekcie którego mumia zacznie szeptać.

Wziął od Pete'a teczkę i otworzył ją. Wewnątrz zobaczyli coś, co wyglądało jak trzy radia tranzystorowe.

Bez zbędnego gadania Jupe zabrał się do roboty. Jeden z aparatów radiowych wręczył Pete'owi, po czym wyjął z teczki skórzany pas z przymocowanym do niego drutem miedzianym i okręcił go wokół talii Pete'a. Następnie połączył drut z radiem.

- Teraz wyjdź przez taras i pospaceruj po ogrodzie - powiedział. - Trzymaj radio przy uchu, tak jakbyś chciał słuchać, ale zamiast tego mów do radia, i przedtem naciśnij ten przycisk z boku. Żeby słuchać, trzeba zwolnić przycisk.

- Ale co to jest? - spytał Pete.

- To walkie-talkie - wyjaśnił Jupe. - Drut na pasie jest anteną. Mają dość dużą moc nadawczą, ich zasięg wynosi ponad kilometr. Uznałem, że musimy mieć możliwość kontaktowania się z sobą wtedy, kiedy jesteśmy rozdzieleni. Zacząłem nad tym pracować już w zeszłym tygodniu.

- Mam więc iść przez ogród i mówić? - upewnił się Pete. - Co mam powiedzieć?

- Co chcesz.

- Dobra - Pete spojrzał podejrzliwie na Pierwszego Detektywa. - To tak wyglądało twoje czytanie w myślach?

- Pomówimy o tym później - zaśmiał się Jupe. - Teraz chcę zademonstrować coś panu profesorowi.

Otworzył drzwi tarasowe i patrząc na ogród powiedział do Pete'a.

- Zacznesz nadawać, kiedy znajdziesz się, powiedzmy, przy tym murze, koło słupa z kamienną kulą, tam przy furtce.

Pete z radiem przy uchu przeszedł przez taras.

- Teraz, panie profesorze, będę musiał dotknąć mumii, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu - powiedział Jupe.

- Ależ oczywiście, mój chłopcze, że nie mam - odparł profesor. - Tylko, proszę, obchodź się z nią delikatnie.

Jupiter pochylił się nad Ra-Orhonem, po czym szybko się wyprostował. W ręce

trzymał drugi odbiornik. Trzecie radio gdzieś zniknęło.

- W porządku - powiedział do małego nadajnika. - Mów, Pete! - i zwrócił się do profesora i Boba: - Proszę słuchać.

Nasłuchiwali. Nagle ciszę przerwały nieokreślone szmery.

- Proszę pochylić się nad mumią - zwrócił się Jupe do profesora. Sam stał nieruchomo, trzymając odbiornik przy uchu.

Profesor ze zmarszczonym czołem pochylił się nad sarkofagiem. Bob uczynił to samo. I wtedy, o dziwo, odnieśli wrażenie, że mumia naprawdę szepcze. Szybko jednak zorientowali się, że docierający do nich głos, to głos Pete'a.

- Mijam teraz mur - relacjonował Pete. - Schodzę w dół, w stronę dużej kępy krzewów.

- W porządku, maszeruj dalej - powiedział Jupiter do swojego radyjka, po czym zwrócił się do profesora i Boba: - Sami widzicie, w jaki banalny sposób można zmusić mumię do szeptu.

Podniósł zwój lnianych bandaży zdjętych wcześniej przez profesora z twarzy Ra-Orhona, by pokazać im ukryty w tym miejscu trzeci odbiornik. To z niego dochodził głos Pete'a. Złudzenie było jednak bardzo silne, nie znając prawdy, łatwo można by ulec wrażeniu, że słowa wypowiedane są przez mumię.

- Naukowe wyjaśnienie? - rzucił pytanie Jupe. - Mały odbiornik ukryty przy mumii i nadawca znajdujący się gdzieś poza domem to dwa niezbędne warunki. Jeśli zostaną spełnione, mogą sprawić, że uwierzemy w szept mumii.

W tym momencie głos Pete'a, dobiegający z radia, zabrzmiał głośno i alarmująco.

- Słuchajcie! Ktoś chowa się przede mną w krzakach! To chyba chłopiec. Nie wie, że go zauważyłem. Złapię go!

- Poczekaj! - zawołał Jupe - Pomożemy ci!

- Nie, spłoszycie go! Będę dalej spacerował i będę udawał, że go nie widziałem, i gdy będę już dostatecznie blisko, rzucę się na niego. Zawołam was, kiedy będzie trzeba.

- Dobrze, Pete, spróbuj go złapać, a my przybiegniemy.

Jupe zwrócił się do profesora:

- Jakiś intruz myszkuje wokół rezydencji. Ujęcie go może pomóc w rozwiązaniu tajemnicy.

- Ciekaw jestem, co się tam dzieje - niecierpliwił się Bob. - Pete milczy. Szkoda, że nic nie możemy zobaczyć.

Nasłuchiwali w ciszy.

Pete szedł przez ogród stromym zboczem, znacznie poniżej domu. Udawał, bawiąc się radiem, że nie dostrzega ledwo widocznej, ukrywającej się w zaroślach sylwetki. Powoli zbliżał się do niej. Kiedy był już na tyle blisko, że tamten człowiek nie zdołałby uciec, ruszył pędem wprost na niego. Szczupły chłopiec, wzrostu Boba, o oliwkowej cerze i ciemnych jak węgielki oczach, wyskoczył z krzaków. Pete rzucił się na niego i obaj upadli na ziemię.

- Mam go! - krzyknął do radia w sekundę przed tym skokiem. Bili się zawzięcie i przewracali potrawie. Nieznajomy chłopiec krzyczał w jakimś dziwnym języku. Malutkie radio wypadło Pete'owi z ręki. Staczając się po stromym zboczu, uszkodzili je, przygniatając ciężarem swoich ciał. Nieznajomy chłopiec walczył ostro, próbując się wyswobodzić z silnego uścisku Pete'a.

Chłopiec był bardzo zwinny. Wił się jak piskorz. Raz, wyslizgując się zręcznie Pete'owi, o mało co nie zdołał uciec. Gdy Pete ponownie mocno go złapał, przewrócili się na stromy trawnik i poturlali aż pod kamienny mur.

Chłopiec znowu wyrzucił z siebie serię obcych słów, ale Pete nawet nie próbował słuchać. Czekał tylko, kiedy Jupe i Bob przybiegną. Rzeczywiście, chłopcy szybko ruszyli mu na pomoc, a profesor wraz z nimi. Zaraz po usłyszeniu okrzyku Pete'a Bob pierwszy, mimo utykania, rzucił się do drzwi. Za nim biegł Jupe i profesor.

Już z tarasu zobaczyli toczącą się w dolnej części ogrodu walkę. Nagle wyprzedziła ich jakaś nieznana postać w niebieskim kombinezonie, z łopata w ręce. Był to mężczyzna, który odrzuciwszy po drodze łopatę biegł szybko w kierunku walczących.

- To jeden z braci Magasay, ogrodników pracujących w moim ogrodzie - szybko wyjaśnił profesor. - To Filipińczycy, jest ich siedmiu. Są też świetni w judo.

Zwolnili, bo ogrodnik dobiegł już do chłopców. Pochylił się nad walczącymi, otoczył ramieniem szyję nieznanego chłopca i odciągnął go od Pete'a.

- Mam intruza! - krzyknął. - Trzymam go mocno!

Pete podnosił się powoli. Chłopiec o oliwkowej skórze bił, kopał i próbował za wszelką cenę wyrwać się z rąk mężczyzny.

- Niech pan uważa. On jest jak dziki kot - ostrzegł Pete.

Chłopiec wykrzykiwał coś w swoim języku, a pan Magasay starał się przemówić mu do rozsądku.

- Uspokój się, nie zmuszaj mnie do tego, bym ci przyłożył! - po czym w podnieceniu powiedział parę słów również w jakimś obcym języku.

Nagle przeraźliwie wrzasnął. Chłopiec wyrwał się, przeskoczył przez mur i czmychnął w zarośla, nim Pete w ogóle zdołał się ruszyć.

W tym momencie dobiegli do nich profesor, Jupiter i Bob.

- Co się stało? - zawołał profesor. - Jak on zdołał uciec?

- To przeze mnie, idiotę - powiedział ogrodnik. - Nie przyszło mi do głowy, że może to drań zrobić.

Wyciągnął prawą rękę. Były na niej krwawiące ślady zębów. Chłopiec musiał go głęboko, z dużą zawziętością ugryźć.

- Zrobiłeś, co mogłeś - stwierdził profesor. - Idź zaraz do lekarza, niech opatrzy ci rękę. Nie można dopuścić do infekcji.

- Przykro mi, że byłem taki głupi - powiedział ogrodnik. Odwrócił się i poszedł w stronę swojej ciężarówki stojącej przed domem. Jak wielu ogrodników w Południowej Kalifornii, miał z braćmi firmę, która zajmowała się pielęgnacją prywatnych ogrodów. Pete ciężko oddychał, zmęczony walką.

- Do diabła - powiedział z rozgoryczeniem. - Już myślałem, że go mamy.

- Kto to mógł być? - zastanawiał się Bob. - Co tutaj robił?

- Szpiegował. Widziałem, jak z tych krzaków uważnie obserwował dom.

- Bez wątplenia mógł nam wiele wyjaśnić - Jupiter znowu skubał wargę.

- Chłopcy - odezwał się profesor Yarborough - sam nie wiem, co o tym sądzić. - Odwrócili się do niego, czekając na ciąg dalszy. - W chwilę potem, jak Pete krzyknął i zaatakował, a zanim radio zostało zniszczone, w odbiorniku Jupe'a dało się słyszeć okrzyki tego chłopca.

- W jakimś dziwnym języku - przytaknął Pete.

- To był współczesny arabski - kontynuował profesor. - Chłopiec krzychał: "Modlę się do szlachetnego ducha Ra-Orhona, by przyszedł mi z pomocą".

Jupiter otworzył usta chcąc coś powiedzieć, ale nagły okrzyk Pete'a nie pozwolił mu na to.

- Uwaga! - Pete wyciągnął ostrzegawczo rękę. Popatrzyli we wskazanym kierunku i przerazili się. Jedna z dwóch granitowych kul wieńczących słupy spadła ze swego miejsca. Teraz, nabierając szybkości, toczyła się wprost na nich.

ROZDZIAŁ 6

Dziwny gość

Na widok sunącej prosto na nich wielkiej, kamiennej kuli, Bob i Pete rzucili się do ucieczki. Zatrzymał ich ostry krzyk profesora:

- Stać spokojnie! Nie ruszać się nawet o milimetr!

Jupiter poczuł wielki podziw i respekt dla profesora. Zorientował się on bowiem szybciej niż Jupe, iż linia spadku terenu przebiega tak, że kula musi ich ominąć, przetaczając się obok.

Istotnie, w połowie drogi zboczyła, by zatrzymać się w odległości dwóch metrów od nich, przy drzewach eukaliptusowych rosnących na dole stoku.

- O rany! - Bob ocierał spocone czoło. - Właśnie tam zamierzałem uciekać!

- Ja nie - powiedział Pete. - Wybrałem przeciwny kierunek. Ta kula musi ważyć z tonę.

- Myślę, że trochę ponad - zastanowił się profesor. - Granitowa kula wielkości powiedzmy...

- Profesorze!

Spojrzeli w górę zbocza. Wilkins biegł do nich od strony domu.

- Widziałem wszystko z okna w kuchni - dyszał ciężko. - Czy nic się panu nie stało?

- Jak widzisz, jestem cały i zdrowy - odpowiedział profesor niecierpliwie - i już wiem, co chcesz powiedzieć. Nie mam zamiaru tego słuchać! Zabraniam ci!

- Ale ja muszę, proszę pana. To klątwa Ra-Orhona, to ona spowodowała wypadek. Ra-Orhon zabije pana! Może nawet zabić nas wszystkich!

- Klątwa Ra-Orhona... - Jupiterowi rozjaśniły się oczy. - Jaka to klątwa, panie profesorze? Czy ona ciąży nad tą mumią?

- Nie, nie, z pewnością nie - odpowiedział profesor. - Jesteś zbyt młody, by to pamiętać, ale kiedy odkryłem grobowiec w Dolinie Królów, gazety wypisywały całe mnóstwo absurdalnych historii na temat pewnego napisu na kamieniu...

- A brzmiał on - wtrącił się Wilkins: - "Nieszczęsny każdy, kto zakłóci sen Ra-Orhona. Sprawiedliwy, który śpi wewnątrz". Tak brzmiał. Prawie wszyscy uczestnicy ekspedycji zmarli lub doznali ciężkich obrażeń, ponieważ...

- Wilkins! - głos profesora brzmiał naprawdę groźnie. - Zapominasz się!

- Tak, proszę pana - kamerdyner wyraźnie się speszył. - Przepraszam.

- Napis mówił - zaczął spokojnym tonem wyjaśniać profesor - "Ra-Orhon sprawiedliwy śpi wewnątrz. Nieszczęsny, jeśli sen jego zostanie zakłócony", a więc nieszczęście grozi Ra-Orhonowi. Prawdą jest, że lord Carter zupełnie inaczej interpretował napis na grobowcu i w tym się nie zgadzaliśmy, ale jestem pewien, że to ja słusznie rozumiem te słowa. - Przerwał na chwilę, po czym dodał: - Natomiast z samym Ra-Orhonem wiąże się pewna tajemnica. Wraz z Carterem odkryliśmy go doprawdy przez przypadek. Grobowiec Ra-Orhona był dobrze ukryty w skalistej skarpie. Wewnątrz nie było żadnych cennych przedmiotów, które na ogół znajdowano w królewskich grobowcach. Była tylko trumna, zwykła trumna, w której spoczywał Ra-Orhon z kotem, również z mumifikowanym. Nie było też żadnego napisu, który by mówił o tym kim był i czego dokonał. A przecież był zwyczaj zostawiania takich informacji. Wyglądało na to, że został pochowany specjalnie w taki sposób, by jego grób nie zwrócił niczyjej uwagi i by, być może, w przyszłości rodzina mogła pochować go po raz wtóry, bardziej okazale. Gdyby na jego grobowiec natrafili jacyś złodzieje cmentarni, nie znaleźliby nic wartościowego.

Jednakże staranność, z jaką został zabalsamowany, wskazuje na to, że nie był to zwyczajny, przeciętny człowiek. Nie znamy daty jego zgonu. Jego imię może naprowadzić nas na pewien trop w poszukiwaniach jego autentycznego pochodzenia. "Ra" - to człon, który ma związek z imionami królów wcześniejszych dynastii. "Orhon" - sugeruje pewne wpływy libijskie, a Libijczycy zaczęli przenosić się do Egiptu ponad trzy tysiące lat temu i z czasem stali się władcami tego kraju. Kiedy ustalę w miarę dokładną datę jego pogrzebu, będę mógł posunąć się dalej w badaniach i być może dowiem się, dlaczego został pochowany tak zwyczajnie lub może wręcz ukradkiem.

Wracając zaś do tego, co Wilkins mówił o losach członków naszej ekspedycji, nie możecie poddać się jego sugestiom, mogłoby to doprowadzić was do błędnych wniosków. Lord Carter zginął w wypadku samochodowym. Aleph Freeman, genialny samouk, mój sekretarz i ojciec mojego młodszego przyjaciela, profesora Freemana, mieszkającego na przeciwległym stoku kanionu, został zamordowany na bazarze w Kairze. Fotograf i osobisty sekretarz Cartera zostali ranni w tym samym wypadku na bazarze, ale przeżyli potem jeszcze wiele lat. Egipski nadzorca robotników pracujących przy wykopaliskach zmarł od ukąszenia węża.

Jest rzeczą naturalną, że w ciągu ćwierćwiecza w jakiejś grupie ludzi zdarza się pewna ilość wypadków, do nich też należą zgony. Wiercie mi, to jest jak najbardziej normalne i żadna klątwa nie ma na to wpływu.

Pete i Bob popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Chcieliby wierzyć, ale coś im nie

pozwalalo...

- Ach, jeszcze jedno - dodal profesor. - Byc moze nie ma to bezposredniego zwiazku z tym szeptem, ale w zeszlym tygodniu, tego samego dnia, w ktorym przywieziono Ra-Orhona, przyszedl do mnie libijski handlarz dywanow. Nazywal sie Achmed jakis tam i usilnie staral sie mnie przekonac, zebym oddal mu Ra-Orhona. Powiedzial, ze reprezentuje Dom Hamida w Libii, a Ra-Orhon byl przodkiem jego pracodawcy. Mowil, ze objawilo sie to w wizji pewnego medium. Co za nonsens! Oczywiscie, zaraz odeslam tego typu. Odchodzac straszyl mnie, ze czekaja mnie klopoty, poki nie oddam Ra-Orhona jego rodzinie, ktora pochowa go nalezycie.

Pete i Bob ponownie wymienili spojrzenia. Z minuty na minute sprawa przedstawiala sie coraz gorzej. Natomiast Jupe wygladal na calkiem zadowolonego.

- Teraz jednak - ciagnal dalej profesor - zapomnijmy o zabobonach i zobaczmy, co spowodowalo, ze kula spadla z filara.

Poszedl pierwszy pod gore, do furtki. Szybko zorientowali sie, ze kule osadzone byly w kolnierzach z zaprawy murarskiej. Wraz z uplywem czasu i dzialaniem czynnikow atmosferycznych spoiwo sie oslabilo i zaprawa wykruszyla sie w jednym miejscu dosc znacznie. Co wiecej, usytuowanie na pochylym terenie spowodowalo z biegiem czasu minimalne przechylenie filara ku spadkowi zbocza.

- Latwo odgadnac przyczynę tego, co zaszlo - odezwal sie profesor. - Cement sie wykruszyl, a pochylosc filara jest wystarczajaca, by przy dodatkowym bodzcu kula mogla sie stoczyc z niego. Prawdopodobnie tym dodatkowym czynnikiem bylo bardzo lekkie trzesienie ziemi. Mamy w tym rejonie kilkanaście rocznie takich lekkich wstrzasow.

Kamerdyner kompletnie nieprzekonany odszedl od nich, kręcąc głową. Profesor z chlopcami wrócił przez taras do swojego muzeum. Skupili sie wokół sarkofagu.

- Wykazales duza pomyslowosc, aranżując szept mumii – profesor pochwalil Jupitera.
- Jednakze nie jest to wyjasnienie sytuacji, poniewaz w skrzyni nie ma zadnego ukrytego radia.

- Szukal pan?

- No nie - zmieszal sie profesor. - A chyba powinienem. Wyjal aparat, ktory Jupiter ukryl w zwoju bandazy zdjetych z twarzy Ra-Orhona, po czym zaczal obmacywac dno sarkofagu wokół mumii. Nie znalazlzy niczego, ostroznie uniosl Ra-Orhona. Mogl sprawdzic, ze takze pod nim nic nie schowano.

Teraz Jupiter wygladal na zbitego z tropu. Sam zaczal przeszukiwac sarkofag - najpierw wieko, potem skrzynie. Podniosl ja nawet, zeby zajrzec pod spód.

- Rzeczywiście - stwierdził w końcu - żadnych drutów, żadnego odbiornika, nic. Przykro mi, panie profesorze, moja pierwsza teoria okazała się nietrafiona.

- Tak często bywa z pierwszymi teoriami - pocieszył go profesor - ale mam nadzieję, że wymyślisz niebawem drugą, która wyjaśni nam szept mumii.

- Nie mam w tej chwili żadnej koncepcji, proszę pana - odpowiedział nieco zawiedziony Jupe. - Mówił pan, że mumia szeptała tylko wtedy, kiedy jest pan z nią sam?

- Tak - skinął głową profesor. - I jak dotąd, tylko późnym popołudniem.

Jupiter skubnął wargę.

- Czy ktoś jeszcze mieszka z panem w tym domu?

- Tylko Wilkins. Pracuje u mnie od dziesięciu lat i jest jednocześnie moim kucharzem, szoferem i kamerdynerem. Przedtem był aktorem. Zdaje się, że występował w wodewilach. Oprócz tego, trzy razy w tygodniu przychodzi kobieta do sprzątan.

- A ogrodnik? Czy on jest nowym pracownikiem?

- Ach, nie - profesor potrząsnął głową. - Bracia Magasay, wspominałem już, że jest ich siedmiu, pracują u mnie od ośmiu lat. Przychodzą na zmianę, ale żaden z nich nigdy nie był wewnątrz domu.

- Hmm - zastanawiał się Jupiter, a jego okrągła twarz zachmurzyła się. Następnie zdecydowanie skinął głową. - Tak, nie ma innego wyjścia, muszę sam usłyszeć szept mumii.

- Ale jak dotąd mumia szeptała tylko do mnie - przypomniał profesor. - Uparcie milczała w obecności Wilkinsa czy profesora Freemana.

- Tak - wtrącił się Bob - dlaczego miałyby mówić do ciebie, Jupe? Jesteś dla niej zupełnie obcy.

- Zaraz, zaraz - przerwał Pete. - Nie podoba mi się to całe gadanie... jakby mumia wiedziała, co się dzieje w pokoju.

- To nie jest naukowe podejście - przyznał profesor - ale odnoszę wrażenie, że istotnie wie.

- Wierzę, że będzie do mnie szeptała - powiedział z pełnym przekonaniem Jupe. - Zdobędziemy wówczas więcej informacji. Panie profesorze, przyjdziemy tu wieczorem i spróbujemy.

- Rany Boskie, gdzie się ten Jupe podziewa? - pytał Pete patrząc na elektryczny zegar wiszący na ścianie w Kwaterze Głównej. - Jest kwadrans po szóstej, a mieliśmy się spotkać punkt o szóstej.

- Czy nie powiedział przypadkiem ciotce, dokąd idzie? - spytał Bob podnosząc głowę

znad notatek, bo właśnie opisywał poranne zdarzenia.

Nie mógł zabrać się do tego wcześniej, gdyż całe popołudnie spędził w bibliotece, gdzie pracował dorywczo.

- Nie - odpowiedział Pete. - Ale pojechał gdzieś z Worthingtonem. Może zobaczę coś przez peryskop?

Podszedł do Wszystkowidzącego i podniósł go w górę.

- Jest! - wykrzyknął. - Jest samochód! Nadjeżdża drogą od strony miasta. Jupe wychyla się przez okno. Może chce nam coś powiedzieć przez walkie-talkie?

Podeszli szybko do biurka, na którym stał głośnik radiowy połączony z telefonem. W zeszłym tygodniu Jupe połączył go także z walkie-talkie. Urządzenie mogło teraz odbierać to, co nadawano z zewnątrz, i przekazywać wszystko, co mówiono w biurze.

- Jupe i jego czytanie w myślach - mruczał pod nosem Pete, sadowiac się przy biurku.
- Rano, jak wracał z poczty, słyszał każde słowo z naszej rozmowy o listach pana Hitchcocka i pani Banfry.

Sięgnął do głośnika i przestawił przełącznik.

- Tu Kwaterna Główna - powiedział. - Wzywamy Pierwszego Detektywa. Czy mnie słyszysz, Pierwszy? Odbiór.

Włączył radio i po głośnych szumach dał się słyszeć głos Jupitera:

- Tu Pierwszy Detektyw. Dołączę do was, jak będę mógł najszybciej. Zauważyłem, że patrzyliście przez Wszystkowidzącego. Opuśćcie go, jeśli już go nie używacie. To wszystko. Wyłączam się.

- Odebrałem i zrozumiałem - Pete wyłączył głośnik.

Bob podszedł do peryskopu.

- Jupe zaraz tu będzie - relacjonował. - Samochód wjeżdża przez bramę, Jupe wysiada. Niesie w ręce jakąś małą torbę. Idzie w naszą stronę. Będzie tu za minutę. Worthington został w samochodzie.

Opuścił Wszystkowidzącego i usiadł przy biurku.

- Ciekaw jestem, gdzie się podział - zastanawiał się głośno, gdy minęło kilka minut, a Jupe nie pojawił się. Po chwili dodał: - Chciałbym też wiedzieć, co go teraz zatrzymuje. Myślisz, że utknął w Tunelu Drugim?

W tym momencie dał się słyszeć charakterystyczny dźwięk unoszonej kłapy i w otworze pojawiła się czyjaś głowa i ramiona.

Pete i Bob znieruchomieli. W otworze podłogi stał starszy mężczyzna. Miał białe, potargane włosy, okulary w złotej oprawie i małą, kozią bródkę.

- Profesor Yarborough! - wykrzyknął Pete. - Jak pan się tu dostał?! Co się stało z Jupe'em?!

- Dotknęła go klątwa Ra-Orhona - starszy pan wśliznął się do przyczepy ze zdumiewającą sprawnością. - Ra-Orhon zamienił go we mnie!

Po czym błyskawicznie zerwał perukę, bródkę, zdjął okulary i szeroko uśmiechnął się do Pete'a i Boba.

- Jeśli udało mi się was wprowadzić w błąd - powiedział - równie dobrze mogę oszukać mumię, a zwłaszcza mumię z zamkniętymi oczami.

- Jupe! - krzyknął Bob.

- A niech cię, Jupe! Ale nas nabrałeś! - powiedział z podziwem Pete. - Dlaczego przebrałeś się za profesora Yarborougha?

- Chciałem sprawdzić efekt - wyjaśnił krótko Jupe, chowając do małej torby perukę, brodę i okulary.

A kiedy znalazł się bliżej lampy, zauważyli narysowane ołówkiem do brwi linie na jego czole i wokół oczu, nadające twarzy niemal starczy wygląd.

- Poszedłem do pana Granta - kontynuował Jupe - opowiedziałem, jak wygląda profesor, i on zrobił mi odpowiedni makijaż i pożyczył niezbędne przedmioty.

Pan Grant był specjalistą od makijażu, a Trzej Detektywi poznali go jakiś czas temu. Dokonywał cudów w swoim zawodzie, potrafił zmienić, niemal nie do poznania, wygląd każdego.

- Ale dlaczego? - pytał Bob.

- Żeby nabrać mumię.

- Nabrać mumię! - wykrzyknął Pete. - Jak to? Po co?

- Jeśli mumia będzie myślała, że jestem profesorem Yarboroughem, być może przemówi do mnie - powiedział Jupe. - Według profesora nie ma zamiaru szeptać do nikogo innego.

- Zaraz, zaraz! - zawołał Pete. - Wygląda na to, że ta mumia nie tylko mówi, ale także widzi i słyszy. A przecież to tylko mumia. Martwa od trzech tysięcy lat. Jeśli przy badaniu tej tajemnicy trzeba robić z siebie idiotę i wprowadzać w błąd mumię dawno zmarłego człowieka, to ja dziękuję bardzo! Głosuję za tym, żebyśmy zapomnieli o mumii i szukali kota.

Bob chciał coś powiedzieć, ale w końcu tylko przełknął głośno ślinę. Jupe w zamyśleniu skubał wargę.

- Więc nie chcesz z nami iść i sprawdzić, czy mumia będzie do mnie szeptała? - zapytał.

Pete zawahał się. Zdążył pożałować swojego wybuchu, ale słowa już padły, a ambicja nie pozwalała mu na ich wycofanie. Pokręcił więc przecząco głową.

- Nie, już powiedziałem. Następnym razem może się na nas zwalić cały dach. Dzisiaj rano Ra-Orhon i kłątwa pokazali już, co potrafią.

- Dobrze - zgodził się Jupiter. - Jest nas trzech i nie widzę powodu, dla którego nie moglibyśmy podjąć się dwóch spraw równocześnie. Jedź, porozmawiaj z panią Banfry, właścicielką kota, a Bob i ja pojedziemy do profesora, tak jak zaplanowaliśmy. Zgoda, Bob?

Bob czuł, że Pete nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Jupe jednak był szefem i rzeczywiście, tak jak powiedział, mogą pracować nad dwoma przypadkami równocześnie. Skinął więc głową na znak zgody.

- Doskonale - rzekł Jupe. - Pete, masz wystarczająco dużo czasu na to, by przeprowadzić wstępną rozmowę z klientką, jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Ponieważ rolls-royce jest nam potrzebny, poproś Hansa, żeby zawiózł cię do Santa Monica małą ciężarówką

Pete wciąż wahał się. Wreszcie odburknął:

- W porządku, Jupe, załatwię to.

Podniósł klapę w podłodze, opuścił się w dół do Tunelu Drugiego i przeczołgał do wyjścia za prasą drukarską w warsztacie. Potem przeciskając się przez sterty złomu, skierował się wprost do biura państwa Jonesów. Hans właśnie już je zamykał. Całkiem chętnie zgodził się zawieźć Pete'a do Santa Monica.

I dobrze - pomyślał Pete - jeszcze pokażę Jupowi, co potrafię. Znajdę tego kota, podczas gdy Pierwszego i Dokumentację będzie prześladować w jakiś przerażający sposób kłątwa Ra-Orhona. Jeśli chcą tego, niech mają!

ROZDZIAŁ 7

Zjawienie się boga z głową szakala

W niecałą godzinę potem Pete był w Santa Monica i rozmawiał z panią Banfry, małą osobką, mocno poruszoną utratą kota.

Niemalże w tym samym czasie w domu profesora Yarborougha, Jupiter wchodził do sali muzealnej i zapalał górne światło. Na dworze było jeszcze jasno, ale słońce pomału chowało się za wzgórze i w sali panował półmrok.

Jupiter wykonywał powolne ruchy tak, jak robią to starsi ludzie. Podszedł najpierw do okien i otworzył je szeroko, a potem do sarkofagu Ra-Orhona. Podniósł wieko, oparł je o skrzynię i spojrzął w dół na spokojną twarz mumii.

- Ra-Orhonie - powiedział głośno - mów, a ja będę cię słuchał i starał się zrozumieć.

Jupiter nie mówił oczywiście swoim głosem. Imitował całkiem niezłe głos profesora Yarborougha. Miał perukę, okulary i bródkę, w które zaopatrzył go pan Grant. Ubrany był w jedną z marynarek profesora i zawiązał nawet jego krawat.

Profesor był niski i pulchny, a Jupiter przysadzisty, nie było mu więc szczególnie trudno upodobnić się do postaci znanego egiptologa.

Bob z profesorem czekali niecierpliwie w sąsiednim pokoju na wynik próby. Wilkins, zajęty pracą w kuchni, nic nie wiedział o tej całej maskaradzie.

Jupiter pochylił się nad mumią i powtórzył:

- Wielki Ra-Orhonie, proszę, mów do mnie, chcę cię zrozumieć.

Czyżby dobiegał do jego uszu jakiś szmer? Przechylił głowę, by lepiej słyszeć, i już wiedział, że to były słowa. Dziwne, szorstkie, wypowiedane syczącym szeptem w języku, którego nigdy dotąd nie słyszał.

Zaskoczony Juve podniósł raptownie głowę i rozejrzał się wokół. Był sam. Drzwi do sąsiedniego pokoju były zamknięte.

Przybliżył znów ucho do nieruchomych warg mumii i słuchał szeptu. Wyczuwał, że był to szept ponagląjący, rozkazujący. Ale na czym tak bardzo mogło zależeć Ra-Orhonowi?

W końcu był już pewien, że profesor nie miał halucynacji. Mumia rzeczywiście szeptała!

Jupiter miał pod marynarką przymocowany do paska mały przenośny magnetofon. Kiedyś, kiedy chłopcy tworzyli swój zespół stwierdził, że praca współczesnego detektywa wymaga nowoczesnego sprzętu. Dzięki reperacjom i przerabianiu starych aparatów, które

trafiały do składu Jonesa, chłopcy stopniowo wzbogacili się w niezbędne urządzenia.

W małym laboratorium Kwatery Głównej mieli już mikroskop, urządzenie do powiększania odcisków palców i aparat fotograficzny dostarczony przez Boba. We własnej ciemni wywoływali sami zdjęcia. Wszystkowidzący i walkie-talkie były najnowszym nabytkiem. A magnetofon zdobył Pete od szkolnego kolegi, w zamian za własną kolekcję znaczków pocztowych.

Teraz Jupe w sposób bardzo delikatny przypiął małego i bardzo czuły mikrofon magnetofonu do lnianych bandaży w odległości paru centymetrów od ust mumii.

- Nie zrozumiałem cię, Ra-Orhonie - powiedział. - Mów do mnie dalej.

Szept, który na chwilę ustał, po słowach zachęty dał się znowu słyszeć. Był to długi potok zdań wypowiedzianych bardzo, bardzo ciężko. Jupe miał nadzieję, że mikrofon zdoła uchwycić te ledwo słyszalne dźwięki.

Ra-Orhon szeptał już dobrze ponad minutę, gdy nagle sztuczna broda Jupitera pochylającego się nad skrzynią zahaczyła o wystającą z niej drzazgę, a kiedy Jupe poruszył głowę, zaczęła się odrywać. Poczł ostry ból, bo klej przymocowujący brodę do twarzy był dość mocny.

- Auuu! - Jupiter nie wytrzymał i wydał dziki okrzyk swoim prawdziwym głosem.

Szybkim ruchem chwycił brodę, chcąc ją z powrotem umieścić na swoim miejscu. Ale przy tym zachwiał się, stracił równowagę i upadł ciężko na podłogę, gubiąc okulary i perukę.

Kiedy wstawał niezdarnie, doprowadzając do ładu przebranie, drzwi otworzyły się z trzaskiem i do sali wpadł profesor z Bobem.

- Co się stało? - wołał Bob.

- Usłyszeliśmy krzyk - mówił profesor. - Czy coś ci się przytrafiło?

- Tylko własna niezręczność - odparł zrezygnowany Jupe. - Obawiam się, że wszystko zepsułem. Mumia szeptała do mnie, gdy...

- Więc nabrałeś ją! - wykrzyknął Bob.

- Już sam nie wiem, co zrobiłem... - Jupiter zdawał się być całkowicie załamany. - Zobaczmy, czy coś jeszcze powie.

Podniósł mikrofon, który przy potknięciu się Jupe'a wypadł z sarkofagu na podłogę, i pochylił się znów nad mumią.

- Mów, Ra-Orhonie, przemów znowu - powiedział. Czekali, ale w ciszy było słychać tylko ich oddechy.

- To strata czasu - odezwał się w końcu Jupe. - Nie będzie więcej szeptał. Zobaczmy, czy coś się nagrało.

Przeszli do drugiego pokoju. Jupiter zdjął swoje przebranie, przewinął taśmę i włączył magnetofon.

Najpierw słyhać było tylko odgłos przewijającej się taśmy. Później, słuchając uważnie, zaczęli wyłapywać słowa. Szept mumii był mocno zagłuszony szumem obracającej się taśmy, wywołanym maksymalnym nagłośnieniem.

- Czy zdoła pan coś z tego zrozumieć, panie profesorze? - zapytał Jupe, gdy nagranie zakończyło się jego własnym okrzykiem "auuu!"

Profesor Yarborough zdawał się być zdezorientowany.

- Od czasu do czasu zdawało mi się, że łapię jakieś słowo... - potrząsnął przecząco głową. - Jeśli jest to język Środkowego Wschodu, antyczny czy nowożytny, to tylko jeden człowiek w Kalifornii może go zrozumieć. Jest to profesor Freeman, o którym już wcześniej wam wspominałem - wskazał ręką okno, przez które widać było dom kolegi. - Mieszka niedaleko, ale musimy objechać cały kanion, by się tam dostać. Jeśli wasz szofer mógłby nas tam zawieźć, nie zajmie nam to więcej niż dziesięć minut. Proponuję, żebyśmy się tam natychmiast udali i poprosili Freemana, by wysłuchał tej taśmy. Mówiłem mu już o szepczącej mumii i oferowałem mu swą pomoc, chociaż jestem przekonany, że nie uwierzył w szept Ra-Orhona.

Jupiter chętnie przystał na propozycję profesora. Starszy pan zawołał kamerdynera.

- Wilkins - zwrócił się do niego - jadę z chłopcami odwiedzić profesora Freemana. Pilnuj domu, a gdyby zaszło coś niezwykłego, dzwoń natychmiast.

- Dobrze, proszę pana.

W niecałe pięć minut potem jechali już wokół kanionu. Na dworze było prawie ciemno!

Po ich wyjściu Wilkins wrócił do kuchni, gdzie właśnie czyścił mosiężne ozdoby w stylu orientalnym. Nagle jego uwagę zwrócił niewielki hałas dochodzący z zewnątrz.

Dźwięk nie powtórzył się, ale przezorny kamerdyner wziął antyczny miecz, należący do kolekcji profesora, i poszedł do sali muzealnej. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. Sarkofag stał nietknięty, a okna były pozamykane tak, jak zostawił je, kiedy profesor i chłopcy opuścili dom.

Otworzył drzwi i wyszedł na taras. Wtem usłyszał głos, dziwny i szorstki, wydający jakby komendę. Wilkins rozglądał się uważnie dookoła, a jego nerwy były już maksymalnie napięte. Dostrzegł jakiś ruch w zaroślach. Podniósł miecz, jakby chciał się nim osłonić. Wtedy w mroku dostrzegł coś, i to coś zbliżało się do niego. Była to postać mężczyzny z głową szakala. Błyszczące oczy wpatrywały się w Wilkinsa. Zbladł śmiertelnie.

- Annubis - jęknął. - Bóg-szakal.

Przerażająca postać zrobiła jeszcze jeden krok w jego kierunku i podniosła złowrogo rękę.

Wilkins, ogarnięty paraliżującym strachem, wypuścił miecz z ręki i w jednej chwili padł zemdłony.

ROZDZIAŁ 8

W pułapce

Objechawszy kanion, Worthington zatrzymał rolls-royce'a przed wjazdem do garażu profesora Freemana. Krótki mostek łączył drogę z garażem. Dom zaś zbudowany był na stoku, nieco poniżej drogi.

- Panowie, jezdnia w tym miejscu jest zbyt wąska, bym mógł tu zaparkować. Ktoś może wyjechać z dużą prędkością zza zakrętu i gotowe uszkodzenie karoserii.

Worthington był dumny z samochodu i dbał o niego jak o swój własny.

- Trochę niżej droga jest rozszerzona dla tych, którzy chcą się zatrzymać i podziwiać widok. Tam będę na was czekał.

Profesor i chłopcy wysiedli i zeszli po schodach obok garażu do drzwi wejściowych budynku. Nacisnęli dzwonek, a profesor Freeman zaraz im otworzył.

- Co za miła niespodzianka, Robercie! - zawołał na przywitanie. - Wchodźcie, wchodźcie. Właśnie pracowałem nad słownikiem języków Środkowego Wschodu. Ale co was do mnie sprowadza?

Kiedy profesor Yarborough wyjaśnił, że mają z sobą taśmę z nagraniem szeptem Ra-Orhona, Freeman nie ukrywał ogromnego podekscytowania.

- Niewiarygodne! - wykrzyknął. - Musimy to natychmiast przesłuchać. Zobaczymy, czy zrozumiem, co ten stary jegomość chce powiedzieć.

Zaprosił ich do gabinetu pełnego książek, płyt gramofonowych i kaset. Było tu też kilka gramofonów i magnetofonów. Profesor szybko wsunął kasetę do jednego z nich i włączył.

Rozległ się szum i ledwo uchwytny szept mumii. Słuchali w napięciu, ale wkrótce pełne oczekiwania podniecenie profesora Freemana przeszło w konsternację i zdziwienie.

- Przykro mi, Yarborough, ale nie mogę z tego wyłowić ani jednego słowa - powiedział. - Nagrało się zbyt dużo szmerów. Ale otrzymałem właśnie przyrząd do wyciszania niepożądanych dźwięków. Spróbujemy z tym urządzeniem, może nam się poszczęści.

Wyszedł z pokoju i zaraz wrócił z małym aparacikiem. Umieścił go wraz z taśmą w innym magnetofonie i przygotował do ponownego przesłuchania.

W tym samym czasie, po drugiej stronie kanionu, pod dom profesora Yarborougha

zajechała mała ciężarówka ze składu Jonesa. W budynku tylko jedno okno było oświetlone od wewnątrz. Wokół panowała już kompletna ciemność.

- Patrz, Pete, nie ma nikogo - powiedział Hans, kiedy chłopiec zeskoczył z ciężarówki.

- Wilkins powinien tu być - odparł Pete. - Uzyskałem połączenie z telefonem w rollsie i Worthington powiedział mi, że zawiózł Jupe'a i Boba wraz z profesorem do domu po przeciwnej stronie kanionu. Mają się tam z kimś skonsultować i zaraz wrócić. Powiedziałem mu, że pan mnie tutaj podwiezie i zaczekam na nich. Dotrzymam towarzystwa Wilkinsowi, póki nie przyjadą.

- Dobra - odpowiedział Hans. - To ja ruszam, bo wybieramy się z Konradem do kina.

Odjechał, a Pete podszedł do drzwi frontowych i zadzwonił. Czekając, myślał o sprawie, którą zlecił mu Jupe, i o tym, czego dowiedział się od pani Banfry.

Była to osoba, która mówiła i bardzo dużo, i bardzo prędko, ale rzeczywistej treści było w tym niewiele. Istotą tej jej całej gadaniny było, że jej ukochany abisyński kot - rzadka rasa w tym kraju - tydzień temu zaginął. Jak mówiła, koty tej rasy są zazwyczaj dzikie i nieprzyjazne, ale jej wspaniały Sfinks był pod tym względem wyjątkowy. Łagodny jak baranek, bardzo przyjazny, szedł do każdego. Obawiała się, że ktoś go sobie po prostu przywłaszczył albo też kot zaszedł zbyt daleko i błędzi, nie mogąc odnaleźć drogi do domu.

Była pewna, że Trzej Detektywi, którzy tak doskonale spisali się odnajdując papugę jej przyjaciółki, panny Waggoner, znajdą też jej cennego kota.

Pete miał duże trudności ze skierowaniem rozmowy na właściwe tory. W końcu udało mu się uzyskać opis kota. Był cały brązowy, tylko przednie łapy miał białe. Jego specyficzną cechą, dzięki której łatwo można go rozpoznać, są oczy - w różnych kolorach. Koty abisyńskie mają zazwyczaj oczy żółte lub pomarańczowe, Sfinks zaś ma jedno oko pomarańczowe, a drugie niebieskie. Koty o oczach w różnych kolorach są raczej rzadkością, ale jednak trafiają się, twierdziła pani Banfry. Jest to cecha, która uniemożliwia przyznanie Sfinksowi nagrody na wystawie kotów rasowych. Z drugiej jednak strony nadaje mu bardziej oryginalny wygląd i dodaje mądrości spojrzeniu. Często odnosi się wrażenie, że Sfinks rozumie wszystko, co się do niego mówi, i gdyby tylko chciał, toby odpowiedział.

Zdjęcie Sfinksa pojawiło się kilkakrotnie w lokalnych gazetach i magazynach ze względu na te właśnie oczy. Pani Banfry pokazała Pete'owi kolorową fotografię zamieszczoną w ilustrowanym magazynie sześć miesięcy temu. Był to rzeczywiście bardzo ładny kot, chociaż wydawał się trochę niesamowity, chyba właśnie przez te oczy.

Pete zebrałszy możliwie jak najwięcej informacji, uwolnił się czym prędzej z dość męczącego towarzystwa pani Banfry. Skoro zaliczył już spotkanie z nową klientką, mógł

dołączyć do swych towarzyszy. Czuł wyrzuty sumienia. W końcu powinien być z nimi, nawet gdyby stali w obliczu nie wiadomo jakiej klątwy.

Wilkins nadal nie otwierał. Pete nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte i wszedł do środka.

- Halo! Wilkins! Gdzie pan jest?! Czy ktoś tu jest?! - wołał.

Nikt nie odpowiadał. Pete rozglądał się dookoła. Wszystko wyglądało normalnie. Zawołał znowu. Cisza. Skierował się więc ku sali muzealnej. Tam też wszystko wyglądało jak zwykle. Sarkofag był zamknięty, w pobliżu okna, na swoim miejscu stał posąg Annubisa. A mimo to Pete odczuwał jakiś niepokój. Nie wiedział, co jest jego przyczyną, ale lekkie klucie u podstawy kręgosłupa wywoływało w chłopcu napięcie.

Wolno przeszedł się po sali muzealnej. Miał ochotę podnieść wieko sarkofagu i popatrzeć na Ra-Orhona, ale zrezygnował. A nuż mumia zacznie do niego szeptać?

Podszedł więc do otwartych drzwi tarasowych i wyjrzał na zewnątrz. Leciutka poświata wciąż jeszcze utrzymywała się na niebie. Było spokojnie, nie odczuwał żadnego ruchu powietrza. Nic nie zakłócało wieczornej ciszy. Niemile klucie w kręgosłupie wzmogło się. Do licha, dlaczego oni jeszcze nie wracają?

Właśnie zamierzał iść do telefonu, by ponownie połączyć się z Worthingtonem, gdy wzrok jego padł na coś błyszczącego, leżącego na płytach tarasu. Zaciekawiony wyszedł przyjrzeć się temu z bliska. Był to miecz. Zdziwiony podniósł go. Musiał być bardzo stary, wykonany z brązu. Mógł należeć do kolekcji profesora. Nagle ciszę przerwał jakiś szelest dochodzący z za jego pleców. Szybko obrócił się.

Coś najwyraźniej ruszało się w krzakach, a Pete'owi serce waliło jak młotem. Nie odrywał oczu od tego miejsca i po chwili zobaczył jakieś stworzenie idące w jego kierunku. Podeszło całkiem blisko i zaczęło się ocierać o jego nogi, pomrukując z zadowoleniem.

- Kot! - Pete roześmiał się głośno z własnego przerażenia. - To tylko kot.

Odłożył miecz i wziął kota na rękę. Był duży, brązowy i widać miał bardzo łagodne usposobienie. Mruczał coraz głośniej w ramionach Pete'a, który przyglądał mu się uważnie i nagle... o mało nie upuścił go z wrażenia. Kot miał jedno oko niebieskie, a drugie pomarańczowe!

- Rany! To przecież Sfinks! Kot pani Banfry! I znalazłem go właśnie tutaj. Ale Jupe będzie miał minę, jak przyjdzie i zobaczy, że sam uporałem się ze sprawą zaginionego kota.

Był tak pochłonięty wyobrażaniem sobie zdziwienia Pierwszego Detektywa, że nie zastanawiał się nad dziwnym zbiegiem okoliczności: kot zjawił się akurat w tym miejscu i akurat o tym czasie.

Już chciał z nim wejść do domu, gdy nagle coś, jak mały tygrys, skoczyło na niego od tyłu i podcięło mu nogi. Wyłożył się jak długi na tarasie, a wystraszony kot umknął w krzaki.

W sekundę potem Pete walczył zaciekle z jakąś niedużą, ale niezwykle zwinną istotą. Musiało upłynąć trochę czasu, by zdołał odkryć, że to coś, co zaatakowało go od tyłu, było po prostu chłopcem. Dopiero wtedy gdy udało mu się zgrabnie uchwycić przeciwnika w pasie, mógł mu się przyjrzeć.

Był to ten sam chłopiec, z którym walczył rano w ogrodzie. Pete był tak zaskoczony, że aż zwolnił uścisk i tamten o mało co znowu nie uciekł. Szybko jednak Pete zreflektował się, złapał go mocno za ramię, wykręcił i przydusił do płyt tarasu.

- Kim jesteś? Czego tu szukasz? Dlaczego mnie zaatakowałeś?

Chłopiec prawie że płakał z wściekłości.

- Ukradłeś dziadka Ra-Orhona! - krzyczał. - Teraz chciałeś ukraść mojego kota! Ale ja, Hamid z Domu Hamida powstrzymam cię! Pete mrugał oczami z niedowierzaniem.

- Co ty pleciesz? Ja ci ukradłem dziadka Ra-Orhona i twojego kota? Po pierwsze, to nie jest twój kot, tylko pani Banfry. Po drugie, nie ukradłem go, tylko sam przyszedł i zaczął się łąsić.

Chłopiec spojrzał na niego podejrzliwie.

- A dziadek Ra-Orhon? - zapytał. - To nie ty go wzięłeś?

- Nie wiem w ogóle, o czym mówisz - odpowiedział Pete. - Jeśli mówisz o mumii, to dlaczego nazywasz ją dziadkiem, skoro ona ma trzy tysiące lat? Poza tym, jest tutaj w sarkofagu.

Chłopiec potrząsnął głową.

- Właśnie, że go tam nie ma. Jacyś dwaj mężczyźni ukradli go dopiero co, jak nikogo tu nie było.

- Ukradli Ra-Orhona?! - wykrzyknął Pete. - Nie wierzę ci.

- To prawda. Hamid z Domu Hamida w Libii nie kłamie. Pete spojrzał w głąb sali muzealnej. Sarkofag wyglądał jak nie tknięty. Ale jeśli chłopiec nazywający siebie Hamidem mówi prawdę i mumię rzeczywiście ukradziono, to cała sprawa może przybrać nieoczekiwany obrót.

- Słuchaj - powiedział - wszystko, co wiem na temat mumii, to tyle, że szeptała do profesora Yarborougha, a my staramy się pomóc mu w rozwiązaniu tej tajemnicy. A może ty mógłbyś nam pomóc?

Chłopiec, zmuszony w dalszym ciągu do leżenia na posadzce, zdawał się być zdezorientowany.

- Dziadek Ra-Orhon szepcze? - zapytał. - Nie rozumiem, o jaką tajemnicę chodzi.

- Właśnie staramy się wszystko wyjaśnić - powiedział z naciskiem Pete. - Zdaje się, że wiesz dużo o tej mumii, ale może nie wiadomo ci w ogóle nic o tym, o czym z kolei ja wiem. Jeśli powiesz mi, czego chcesz i po co kręcisz się wokół tego domu, niewykluczone, że wspólnie rozwiążemy zagadkę.

Mówiąc to Pete myślał, że gdyby udało mu się zdobyć więcej informacji od Hamida na temat mumii, to być może mógłby rozwiązać obie sprawy - mumii i kota pani Banfry - jeszcze przed powrotem Jupe'a i Boba. Marzyło mu się, by chociaż raz okazać się lepszym od Jupitera.

Po chwili zastanowienia chłopiec o smagłej twarzy skinął głową.

- Zgadza się - powiedział. - Hamid z Domu Hamida obdarza cię swym zaufaniem. Puść mnie, a porozmawiamy.

Pete wstał otrzepując się z kurzu. Hamid zrobił to samo, po czym odwrócił się w stronę ogrodu i zawołał w jakimś obcym języku.

- Wołam mojego kota - wyjaśnił. - Żyje w nim duch Ra-Orhona i on pomoże odnaleźć nam mumię.

- Mówię ci, że to jest kot pani Banfry, Sfinks - przekonywał Pete. - Różne oczy, brązowa sierść, przednie łapy białe. Pasuje jak ulał do opisu.

- Nie - stanowczo zaprzeczył Hamid. - Przednie łapy są czarne, a nie białe. Czarne, jak u ulubionego kota Ra-Orhona, którego mumia była wraz z nim pochowana w sekretnym grobowcu wiele lat temu.

Pete podrapał się w głowę. Rzeczywiście, nie zdążył przyjrzeć się przednim łapom. Może się pomylił? Jednak czy to nie dziwne, że spotkał kota o oczach w różnych kolorach jeszcze tego samego wieczoru, kiedy zaczął się interesować stworzeniem o tak rzadko spotykanej cesze?

- Ustalimy to później - powiedział wreszcie. - Teraz sprawdzimy, czy rzeczywiście nie ma mumii.

Weszli do sali i razem unieśli wieko sarkofagu. Hamid mówił prawdę. Skrzynia była pusta.

- Zniknął! Co się z nim mogło stać?

- To wy, amerykańscy chłopcy, zabraliście go! - krzyczał Hamid. - Ukradliście mojego dziadka!

- Chwileczkę, Hamid - Pete wyteżał umysł. - Ja nie mam z tym nic wspólnego i zapewne moi koledzy również. Chcieliśmy tylko rozwiązać zagadkę tajemniczego szeptu

mumii. Mówiłeś, że ty nic o tym szepcie nie wiesz. Ale jeśli opowiemy sobie wzajemnie, co w ogóle wiemy o mumii, może razem do czegoś dojdziemy.

Hamid skinął głową patrząc jednak dość nieufnie na Pete'a.

- Dobrze, co chcesz wiedzieć?

- Przede wszystkim, dlaczego tę mumię nazywasz dziadkiem, przecież ona ma trzy tysiące lat?

- Ra-Orhon jest antenatem Domu Hamida. Trzy tysiące lat temu libijscy królowie przybyli do Egiptu, by nim rządzić. Ra-Orhon był wielkim księciem. Został zamordowany, ponieważ był szlachetny i sprawiedliwy. Pochowano go potajemnie, żeby wrogowie nie dowiedzieli się o miejscu jego spoczynku. Jego rodzina wróciła do Libii i stworzyła Dom Hamida.

Wszystko to ujawnił mojemu ojcu żebrak Sardon, który jest jasnowidzem, ma dar władania różnymi językami i zna przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Powiedział mojemu ojcu, że Ra-Orhon został wysłany daleko, do kraju barbarzyńskiego i nie spocznie w spokoju dotąd, dopóki mój ojciec nie przywiezie go z powrotem i nie pochowa należycie. Ponieważ mój ojciec jest chory, wysłał mnie - swego najstarszego syna, wraz z Achmedem Beyem, który zarządza naszą firmą, a tu jest moim opiekunem, żebyśmy przywieźli przodka do Libii.

Hamid przerwał na chwilę opowiadanie, chcąc zaczerpnąć więcej tchu. W innych okolicznościach Pete miałby poważne zastrzeżenia, gdyby ktoś nazwał go barbarzyńcą, ale teraz ważniejsze było to, co zaczęło się układać w pewną całość. Profesor Yarborough wspominał o wizycie pewnego kupca libijskiego o imieniu Achmed i o jego żądaniu. Pozbył się go szybko. A teraz wszystko wskazuje na to, że Achmed z Hamidem próbują odzyskać mumię w inny sposób.

- Więc to tak - powiedział. - Kręciłeś się tu w pobliżu dlatego, że sam chciałeś wykraść Ra-Orhona.

- Profesor-barbarzyńca nie chciał oddać mojego praprapradziadka - powiedział Hamid błyskając oczami - wymyśliliśmy więc z Achmedem sposób, w jaki można by go odzyskać. Naszym świętym obowiązkiem jest przywrócić spokój jego duchowi. Achmed zapłacił ogrodnikom, by pozwolili mu udawać jednego z nich. Dzięki temu zawsze może być w pobliżu. Profesor nic nie zauważył, nikt nie przygląda się ogrodnikom, a poza tym Achmed się przebrał.

- Więc to Achmed, a nie prawdziwy ogrodnik, złapał cię dzisiaj rano! - wykrzyknął Pete. - Twój opiekun!

- Zgadza się - powiedział Hamid. - Krzyknął do mnie po arabsku, żebym go ugryzł.

Kiedy to zrobiłem, puścił mnie. Oszukał was wszystkich. O, on jest bardzo mądry.

Nim Pete uświadomił sobie i przemyślał wiadomość, że ogrodnik, cieszący się zaufaniem profesora, tak naprawdę jest oszustem, który chce wykraść Ra-Orhona, upłynęło trochę czasu. Hamid przechadzał się po sali.

- Ktoś jest na zewnątrz! - zawołał nagle. - Usłyszałem, jak jakiś samochód zatrzymał się przed domem.

Podbiegli do okna wychodzącego na podjazd posiadłości. W mroku dojrzeli poobijaną niebieską ciężarówkę. Wysiedli z niej dwaj mężczyźni i skierowali się w stronę tarasu przylegającego do muzeum.

- To ci sami ludzie - szepnął Hamid - którzy wynieśli Ra-Orhona. Widziałem wcześniej, jak wkładali do ciężarówki coś, co przypominało sylwetkę człowieka owiniętego w materiał. Potem, gdy zorientowałem się, że w domu nie ma nikogo, wszedłem do tego pokoju i znalazłem pusty sarkofag.

- Idą tutaj - powiedział Pete. Mężczyźni nie wyglądali sympatycznie. - Ciekaw jestem, czego chcą.

- Musimy się schować - zdecydował szybko Hamid. - Może znowu będą coś kradli. Musimy ukryć się tak, żeby słyszeć, o czym mówią. Może dowiemy się czegoś o Ra-Orhonie?

- Słusznie, ale gdzie? - Pete rozejrzał się dookoła. - Tu nie ma takiej kryjówki. Biegnijmy na dwór, w krzaki.

- Ale tam nic nie usłyszymy - zaprotestował Hamid. - Szybko! Sarkofag! On da nam schronienie. Oni wiedzą, że jest pusty, i nie pomyślą, że ktoś tam mógł się ukryć.

- Dobra - zgodził się Pete, a chłopak o oliwkowej cerze wchodził już do skrzyni.

- Szybko! - ponaglał szeptem. - Chodź, zmieścimy się. Przytulił się do bocznej ściany. Mężczyźni byli już całkiem blisko. Pete nie wahał się, szybko wcisnął się do skrzyni i z pomocą Hamida założył wieko. By się nie udusić i by lepiej słyszeć, Pete przy brzegu koło ich twarzy wcisnął ołówek między wieko a skrzynię.

Była to ostatnia chwila. Ledwie wieko znalazło się na właściwym miejscu, dały się już słyszeć ciężkie kroki i dwaj mężczyźni weszli do sali.

- Masz pasy, Joe? - usłyszeli głos.

- Mam - odburknął drugi głos. - Jestem wściekły na tego klienta, Harry. Mógł od razu wyraźnie gadać, czego chce. Musieliśmy drugi raz jechać po to stare pudło. To wystarczający powód, żeby podnieść cenę.

- Ja też tak myślę, Joe - odpowiedział pierwszy. - Już my się postaramy, żeby zapłacił,

albo... No dobra, zakładaj pasy.

Po sekundzie dosłownie, ku przerażeniu chłopców, sarkofag został pchnięty i jeden jego koniec uniesiono do góry. Najwyraźniej został związany pasami, które zaciśnięto, żeby zabezpieczyć wieko przed zsunięciem się. Gdyby nie ołówek tworzący małą szparkę, byłiby szczelnie zamknięci w środku.

- Wrócili po sarkofag - szepnął w ciemnościach skrzyni Hamid. - Co zrobimy?

- Nie będę się zadawał z tymi rzezimieszkami - oświadczył zdecydowanym szeptem Pete. - Leźmy cicho, bo mamy szansę dowiedzieć się, kto ich tu wysłał. Prawdopodobnie zabiorą nas prosto do niego. Jak otworzy wieko, wyskoczymy i uciekniemy.

- Hamid nie jest tchórzem.

- Ja też nie - odparł Pete, ale w rzeczywistości bardzo się zdenerwował, kiedy mężczyźni dźwignęli skrzynię.

- Ta przekłeta rzecz jest piekielnie ciężka - sieknął Joe.

- Jak ołów - przyznał Harry.

Wynieśli sarkofag przed dom i niemal wrzucili do ciężarówki. Ciężko wylądował na platformie samochodu.

- No wreszcie - odezwał się jeden z mężczyzn. - Swoją drogą jestem ciekawy, po co komu ta mumia i ta stara drewniana skrzynia.

- Niektórzy ludzie zbierają byle co, nawet śmieci - odpowiedział drugi. - W każdym razie musi zapłacić nam za dwie tury, inaczej nie dostanie tego pudła. Schowamy je w melinie i poczekamy, aż zgodzi się na nową cenę. No, jedźmy!

Drzwi ciężarówki zatrzasnęły się i ruszyli pod górę, oddalając się powoli od posiadłości profesora Yarborougha. Uwięzionych w spiętej pasami skrzyni, Pete'a i Hamida wywożono w nieznanym kierunku.

ROZDZIAŁ 9

Wstrząsające odkrycie

Profesor Yarborough i Bob z Jupe'em siedzieli w domu profesora Freemana, podczas gdy ten, chyba już dwudziesty raz przesłuchiwał taśmę z nagraniem szeptu Ra-Orhona.

- Przez cały czas mam uczucie, że mogę to zrozumieć - mówił Freeman. - Tu i ówdzie wyłapuję słowo, które ma sens.

Wyłączył magnetofon i poczęstował profesora Yarborougha cygarem.

- Powiedz mi, Robercie - zwrócił się do niego - jak zdołałeś nagrać ten szept? Bardzo interesująca jest też ta historia z upadkiem Annubisa i granitową kulą.

Profesor Yarborough zaczął opowiadać dokładnie o zdarzeniach, ale gdzieś w połowie przerwał mu dźwięk dzwonka do drzwi.

- Przepraszam - profesor Freeman zwrócił się do gości - ktoś jest przy bramie garażowej, muszę zobaczyć, o co chodzi. Czujcie się jak u siebie. I tak należy nam się mała przerwa przed ponownym przesłuchiowaniem taśmy.

Po jego wyjściu profesor Yarborough odezwał się do chłopców:

- Mówiłem wam, że jeśli ktoś może zrozumieć mumię, to tylko profesor Freeman. Pamiętajcie, że jego ojciec był moim sekretarzem w czasie, kiedy odkryłem grobowiec Ra-Orhona?

- To ten, który został zamordowany w tydzień po otwarciu grobowca? - upewnił się Bob.

Profesor spochmurniał.

- Tak - powiedział. - Ale nie łączcie jego śmierci z żadną klątwą. Aleph Freeman był wielkim ryzykantem i zawsze się obawiałem o niego, gdy nocami wałęsał się po Kairze. Jego syn zainteresował się egiptologią i teraz jest ekspertem w dziedzinie języków Bliskiego Wschodu.

Gospodarz wrócił z książką pod pachą i z tacą zastawioną szklankami cytrynady.

- To tylko sąsiad zbierający jakieś datki - powiedział. - Przy okazji przyniosłem coś do picia, jest tak gorąco. Posłuchajmy jeszcze raz taśmy. Zrobię notatki. Przyniosłem też bardzo cenny słownik z moich zbiorów, chyba będzie potrzebny.

Słuchał taśmy jeszcze wielokrotnie, zapisując od czasu do czasu jakiś wyraz i zaglądając do słownika. Bob i nawet Jupe zaczęli się trochę kręcić ze zniecierpliwienia. Wreszcie profesor Freeman zatrzymał magnetofon, przeciągnął się, podszedł do otwartego

okna, wziął głęboki oddech i odwrócił się do swoich gości.

- Sądzę, że zrobiłem wszystko, co mogłem - stwierdził. - To jest jakiś dziwny tekst w bardzo starym języku arabskim, w którym słowa wymawia się całkiem inaczej niż w języku współczesnym. Mimo to pewien sens zdołałem uchwycić, tylko... waham się, czy wam wszystko powtórzyć...

- Ależ mów - nalegał profesor Yarborough. - Cokolwiek by to nie było, muszę usłyszeć.

- A więc - zaczął Freeman z ociąganiem - jeśli dobrze rozumiem, a pamiętajcie, że części tylko się domyślam, sens informacji jest następujący: "Ra-Orhon jest daleko od domu. Jego sen został zakłócony. Biada tym, którzy go zakłócili. Nie zaznają spokoju, dopóki spój nie zostanie przywrócony Ra-Orhoni. Zginą, jeśli Ra-Orhon nie powróci do swego domu".

Bobowi dreszcz przebiegł po plecach. Nawet Jupe lekko pobałdł. Profesor Yarborough wyglądał na bardzo nieszczęśliwego.

- Wiesz, nigdy nie wierzyłem w tak zwane klątwy - powiedział z uporem, wysuwając do przodu brodę - i nadal nie wierzę.

- Oczywiście - zgodził się drugi profesor - to nie byłoby naukowe podejście.

- Absolutnie - podkreślił profesor Yarborough.

- Może jednak mógłbym ci jakoś bardziej pomóc? Przypuśćmy, że przeniesiemy tu Ra-Orhona na parę dni - zaproponował profesor Freeman. - Przekonamy się, czy będzie do mnie szeptał. Im więcej będziemy wiedzieli o jego mowie, która, przyznaję, zadziwia mnie i niepokoi...

- Mnie też - przerwał starszy profesor. - Dziękuję. Ci chłopcy mi pomagają. Jakoś musimy rozwikłać do końca tę zagadkę.

Pożegnali się i wspinając się po schodach, doszli do drogi. Worthington czekał w samochodzie, w umówionym miejscu.

- Wiedziałem, że profesor Freeman rozszyfruje ten szept - odezwał się profesor, kiedy wracali do domu. - Powiedz mi, Jupe, czy wymyśliłeś jakąś nową teorię na temat szeptu Ra-Orhona? Szczerze mówiąc, interesuje mnie to bardziej niż te wszystkie groźby i klątwy.

- Nie, proszę pana - wyznał Jupiter. - Jak dotąd sprawa jest dla mnie niezwykle skomplikowana.

- Głowa od tego pęka - mruknął Bob, używając ulubionego powiedzonka Pete'a.

- Jesteśmy na miejscu - poinformował Worthington wjeżdżając na podjazd.

- Nie ma ciężarówki, ale Pete powinien już tu być - zauważył Jupe wysiadając. -

Telefonował do Worthingtona i mówił, że spotka się z nami tutaj. Weszli do domu. Światła były pozapalane, ale nikt się nie pojawił.

- Wilkins zawsze wychodzi przywitać się - uniósł brwi zdziwiony profesor i zawołał: - Wilkins! Wilkins!

- Pete! Jesteś tu? - wołał Jupe.

Nikt nie odpowiadał. W domu panowała kompletna cisza.

- To bardzo dziwne - powiedział profesor, a Jupiter sprawiał wrażenie zmartwionego.

- Poszukajmy ich, proszę pana.

- Chodźmy, mogą być w muzeum.

Profesor poprowadził ich przez hali do sali muzealnej. Nie od razu zauważyli brak sarkofagu.

- Ra-Orhon! - pierwszy zreflektował się Bob. - Zniknął! Profesor podszedł szybko do miejsca, w którym poprzednio stał sarkofag. Kilka zadrapań na podłodze - to wszystko, co po nim zostało. Jupiter podniósł z podłogi zmiętą, niebieską chusteczkę.

- Ktoś ukradł Ra-Orhona - powiedział profesor z niedowierzaniem. - Po co komu egipska mumia? Nie ma ona doprawdy żadnej wartości handlowej.

Zmarszczył czoło i wykrzyknął:

- Handlarz dywanów, Achmed coś tam! Chciał przecież zabrać mi Ra-Orhona. To on! Zaraz zawiadomię policję. Tylko... - zawahał się i rozejrzał dookoła - jeśli wezwę policję, będę musiał opowiedzieć o szepczącej mumii. Wtedy znajdzie się to niewątpliwie we wszystkich gazetach. Zrobią ze mnie pośmiewisko. Nie, nie mogę sobie na to pozwolić.

Zagryzł wargi z wyrazem bezradności i niezdecydowania na twarzy.

- Co robić? - zastanawiał się głośno. - Nie będę przez Ra-Orhona narażał na szwank mojej reputacji, która w końcu jest dla mnie ważniejsza niż jakaś tam mumia.

Bob nie miał żadnego pomysłu. Jupe obracał w rękach niebieską chusteczkę.

- Sarkofag z Ra-Orhonem musieli dźwignąć przynajmniej dwaj mężczyźni - odezwał się. - Tak więc ten Achmed, jeśli to jest jego sprawka, musiał być z kimś jeszcze. Tego rodzaju chusteczek używają zazwyczaj robotnicy. To mogłoby być pewną poszlaką. Albo pan Achmed nie ma z tym nic wspólnego, a mumię ukradł zupełnie ktoś inny.

- Można się w tym wszystkim pogubić - profesor przesunął ręką po czole. - Najpierw mumia do mnie szepcze, potem znika... Naprawdę już sam nie wiem... Wilkins! Zapomnieliśmy o Wilkinsie! Przecież on tu był! Te łobuzy mogły mu coś zrobić. Trzeba go odszukać.

- Nie dopuszcza pan myśli, że mógł być w zмовie ze złodziejami? - spytał Bob, który

naczytał się kryminalów z kamerdynerem w roli mordercy.

- Nie, nie ma mowy. Wilkins jest ze mną od dziesięciu lat. Chodźcie, pomożecie mi go odnaleźć.

Wybiegł na taras i od razu zauważył miecz leżący na płytach.

- To z moich zbiorów - powiedział schylając się po niego. - Pewnie Wilkins użył go do obrony. Uprawdzili biednego Wilkinsa! Obawiam się, że w takiej sytuacji muszę zawiadomić policję.

Już zamierzał wejść do domu, kiedy do ich uszu dobiegł słaby jęk zza krzaków rosnących tuż przy tarasie. Jupiter pierwszy rzucił się w tę stronę.

- To Wilkins! - zawołał.

Znaleźli go leżącego na trawie, z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. Gęste krzaki i mrok spowodowały, że Pete i Hamid nie zauważyli go wcześniej.

- Nie mógł upaść tu sam, został wciągnięty - stwierdził profesor pochylając się nad kamerdynerem. - Wydaje mi się, że odzyskuje przytomność. - Podniósł głos: - Wilkins! Słyszysz mnie?

Powieki Wilkinsa zadrżały, ale pozostały zamknięte.

- Patrzcie! - wykrzyknął Bob, dojrzawszy obok krzaków jakieś nieduże stworzenie. - To kot! Kici, kici, kici - wyciągnął rękę.

Kot, który grzecznie siedział sobie, oblizując łapki, wstał i podszedł do wołającego. Bob wziął go na ręce.

- Popatrzcie, on ma jedno oko niebieskie, a drugie pomarańczowe! W życiu nie widziałem czegoś podobnego!

- Wielkie nieba! - Profesor zdawał się być mocno poruszony. - Oczy w różnych kolorach? Pokaż mi go.

Bob podał mu kota. Profesor obejrzał go bardzo dokładnie.

- Abisyński kot o oczach w różnych kolorach! Już nic z tego nie rozumiem. Ta cała historia zaczyna być zbyt fantastyczna. Mówiłem wam, chłopcy, że z Ra-Orhonem pochowany był kot. No więc był to abisyński kot, królewski kot starożytnego Egiptu. Miał oczy w odmiennych kolorach i dwie przednie łapy czarne. A teraz popatrzcie na tego kota!

Popatrzyli na kota z niedowierzaniem, na jego oczy i kruczoczarne łapy.

- Może Wilkins nam coś wyjaśni, jak go ocucimy, bo ja już nic nie rozumiem. - Profesor przyklęknął i zaczął rozcierać nadgarstki kamerdynerowi.

- Wilkins, stary przyjacielu, powiedz coś! Powiedz, co tu się stało.

Wilkins wreszcie otworzył oczy, ale patrzył na profesora tępym wzrokiem.

- Wilkins, co się stało? Kto ukradł Ra-Orhona? Czy to był ten handlarz dywanów?

Kamerdyner próbował coś powiedzieć.

- Annubis - szeptał - Annubis.

- Annubis? - powtórzył pytająco profesor. - Chcesz powiedzieć, że bóg z głową szakala zabrał Ra-Orhona?

- Annubis - jeszcze raz zdołał powtórzyć Wilkins i zamknął oczy. Profesor dotknął jego czoła.

- On ma gorączkę - powiedział. - Chłopcy, trzeba go natychmiast zawieźć do szpitala. Chyba nie będę jeszcze telefonował po policję. Wilkins zdaje się twierdzić, że starożytny bóg egipski ukradł mumię. Do tego wszystkiego mamy kota, który wygląda dokładnie jak ukochany kot Ra-Orhona, zmumifikowany trzy tysiące lat temu. Jestem kompletnie zagubiony. Najważniejsze jest teraz zdrowie Wilkinsa. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, zawieziemy go do szpitala waszym samochodem. Gdy Wilkins będzie już w stanie opowiedzieć nam, co tu zaszło, zdecydujemy, co robić dalej. Teraz pomóżcie mi go podnieść i zaopiekujcie się kotem. Jutro rano zadzwonicie i rozważymy sytuację.

Zataszczyli Wilkinsa do samochodu i Worthington zawiózł ich do małego prywatnego szpitala, prowadzonego przez przyjaciela profesora. Zostawili Wilkinsa pod jego opieką i wkrótce Bob z Jupiterem byli w drodze do domu. Na kolanach Boba drzemał mrużący przyjaźnie kot.

- Jak sądzisz, ten kot może mieć coś wspólnego ze zniknięciem Ra-Orhona? - zapytał Bob.

- Jestem pewien, że tak, ale nic więcej nie umiem powiedzieć. Jupe nie znosił kiedy go zapędzano w kozi róg. Teraz jednak czuł się wyjątkowo zbity z tropu, do tego stopnia, że prawie zapomniał o przyjacielu. Dopiero Bob przypomniał mu pytając:

- Gdzie może być Pete? Powinniśmy mieć już od niego jakąś wiadomość.

- Prawda - zaniepokoił się Jupe. - Zadzwonimy do pani Banfry, może jest jeszcze u niej.

Sięgnął po telefon, który stanowił część luksusowego wyposażenia rolls-royce'a. Najpierw zadzwonił do pani Banfry, która poinformowała go, że Pete wyszedł od niej już dawno. Następnie dzwonił do Kwatery Głównej, ale nikt tam nie odpowiadał. Potem wreszcie zadzwonił do wuja Tytusa i dowiedział się, że Hans wrócił i pojechał z Konradem do kina, a rower Pete'a wciąż stoi na podwórzu.

- Gdzie on może być? - zastanawiał się głośno Bob.

- Nie mam pojęcia - potrząsnął głową Jupe. - Wybierał się do domu profesora

Yarborougha, ale gdzie jest teraz, nie wiem. Musimy po prostu na niego czekać. Mam nadzieję, że nic mu się nie stało.

Nie byłby takim optymistą, gdyby wiedział, że w tym momencie Pete i Hamid zamknięci w związanych pasami sarkofagu, wiezieni byli w nieznanym kierunku przez centrum Los Angeles.

ROZDZIAŁ 10

Nie ma ucieczki dla uwięzionych

Droga dłużyła się chłopcom. Ciężarówka podskakiwała na jakichś wyboistych ulicach, ale Pete i Hamid byli tak ściśnięci w sarkofagu, że nie poobijali się wskutek tych wstrząsów.

Powietrze w skrzyni stawało się ciężkie, na szczęście szczelina stworzona przez Pete'a między skrzynią a jej wiekiem była blisko ich twarzy, mieli więc dopływ świeżego powietrza.

Pete musiał docenić odwagę Hamida, który zachowywał się zupełnie spokojnie.

- Jak myślisz, dokąd oni nas wiozą? - zapytał Hamid szeptem, chociaż nie było to konieczne, bo gdyby nawet krzyczeli, to zamkniętych w skrzyni na tyle ciężarówki i tak nikt by ich nie usłyszał.

- Z tego, co mówili, wynika, że zamiast oddać sarkofag klientowi, chcą go najpierw ukryć - powiedział Pete. - Jak to zrobią, może będziemy mogli uciec.

Mówił z dużą pewnością siebie, ale wcale nie czuł się pewnie. Wystarczyłoby tylko, żeby ci ludzie zostawili gdzieś sarkofag i nie zdjęli z niego pasów...

- Oni mówili coś o zrobieniu dwóch tur - szeptał Hamid - i o tym, że są na kogoś wściekli. Co to znaczy, Pete?

- Ktoś ich wysłał, żeby ukradli Ra-Orhona - zaczął wyjaśniać Pete. - Wzięli tylko mumię, bez sarkofagu. Gdy dostarczyli mumię, okazało się, że ten, co ich wysłał, był zły, bo przywieźli ją bez skrzyni. Kazał im jeszcze raz pojechać, tym razem tylko po nią. Byli wściekli, że nie powiedział od razu dokładnie, o co mu chodzi, i postanowili ukryć sarkofag, żeby wyłudzić więcej pieniędzy.

- Ach tak. Pewnie masz rację, ale nie rozumiem, po co ktoś ma kraść mumię Ra-Orhona. To jest przecież tylko mój dziadek.

- To jest właśnie ciekawe - przyznał Pete. - Wiesz, jak prawdopodobnie nazwałby to wszystko Bob Andrews? - "Tajemnica szepczącej mumii".

- Bob Andrews? Kto to?

- To jeden z Trzech Detektywów.

- Co to znaczy? - Hamidowi nic to nie mówiło.

Pete więc zaczął opowiadać mu o zespole, który założyli. Młodszy chłopiec słuchał z ogromnym zainteresowaniem.

- Wy, amerykańscy chłopcy jesteście tacy... no, nie wiem, jak to powiedzieć, robicie

różne rzeczy na własną rękę. - W jego słowach brzmiał podziw i zazdrość zarazem. - W Libii jest inaczej. Moja rodzina kupuje i sprzedaje orientalne dywany. Znam się więc trochę na tym, ale nie wiem nic o odciskach palców, nagraniach na taśmie, peryskopach czy walkie-talkie.

- Walkie-talkie! - Pete'a nagle olśniło. - Że też nie pomyślałem o tym wcześniej. Możemy spróbować wezwać pomoc.

Pete zdążył naprawić swój odbiornik, który rano został uszkodzony w walce z Hamidem. Jupe zastrzegł, że teraz w czasie ich wspólnej pracy muszą mieć zawsze małe radyjka przy sobie.

Po chwili udało mu się wyciągnąć z kieszeni mały aparat. Odpiął z trudem pas-antenę i wetknął jej koniec w szparę między wiekiem a skrzynią. Wypychał antenę centymetr po centymetrze, aż cała znalazła się na zewnątrz trumny. Wtedy nacisnął guzik na pozycję "mów".

- Halo! Pierwszy Detektyw - powiedział głośno. - Wzywa cię Drugi. Czy mnie słyszysz? Krytyczna sytuacja! Odbiór.

Przełączył przycisk i czekał. Po chwili ciszy usłyszał męski głos. Serce mu zamarło.

- Słyszałeś, Tom? - mówił głos. - Ktoś włączył się w naszą rozmowę.

- Słyszałem, Jack - odpowiedział drugi głos. - To jakieś dzieci. Słuchaj, dzieciaku, kimkolwiek jesteś - wyłącz się. To poważna sprawa. No więc, Jack, jak mówiłem, utknąłem na szosie z przebitą oponą. Jeśli nie...

- Na pomoc! - przerwał Pete krzycząc zapamiętale. - Słuchajcie, moje nazwisko Pete Crenshaw, proszę, żebyście zatelefonowali w moim imieniu do Jupitera Jonesa w Rocky Beach. To wyjątkowo nagły wypadek.

- Jakiego rodzaju wypadek, chłopcze? - spytał mężczyzna o imieniu Jack.

- Jestem zamknięty w trumnie mumii. Wiozą mnie ciężarówką jacyś ludzie, którzy ukradli mumię Ra-Orhona - krzyczał podekscytowany Pete. - Jupiter będzie wiedział, o co chodzi. Proszę zatelefonować do niego, proszę.

- Słyszałeś? - roześmiał się Jack. - Jakiś szczeniak mówi, że jest zamknięty w trumnie mumii i zabrany na przejażdżkę! Te nastolatki! Co one jeszcze wymyślą!

- Proszę! - wydierał się Pete. - Ja nie kłamię! Zadzwońcie do Jupitera Jonesa!

- Słuchaj, Tom - odezwał się męski głos - powiedziałem ci, gdzie jestem. Przyślij mi zaraz pomoc. A ty, chłopcze, spływaj. Powinno być karane włączanie się z głupimi żartami w rozmowy poważnych obywateli.

I wszystko ucichło. Mimo najlepszych chęci Pete'owi nie udało się przesłać

wiadomości.

- Nic z tego - powiedział ponuro do Hamida. - Powinienem powiedzieć tym ludziom, że zgubiłem pieniądze albo coś w tym rodzaju. Powiedziałem prawdę i wzięli mnie za żartownisia, starającego się zakłócić rozmowę.

- Nie ma na to rady. Staraleś się, Detektywie Pete. Trudno uwierzyć w to, że zamknięto kogoś w sarkofagu mumii. Nic dziwnego, że nie traktują tego poważnie.

- Tak, coś takiego zdarza się raz na trzy tysiące lat i musiało się przytrafić akurat mnie.

Przez dłuższą chwilę jechali w milczeniu. Ciężarówka wciąż toczyła się naprzód, a Pete rozmyślał nad wszystkimi niejasnościami sytuacji. Jupe na jego miejscu na pewno maksymalnie wykorzystałby czas i okoliczności. Tak więc i on zaczął zadawać pytania.

- Słuchaj, Hamid - powiedział - jak to się stało, że tak dobrze mówisz po angielsku, skoro przyjechałeś z Libii?

- Jeśli rzeczywiście tak uważasz, to się cieszę - w głosie Hamida brzmiało zadowolenie. - Miałem amerykańskiego nauczyciela. Mój ojciec, głowa Domu Hamida, życzył sobie, żebym w przyszłości podróżował po świecie i sprzedawał dywany. Uczyłem się więc angielskiego, francuskiego i hiszpańskiego. Wiesz, Detektywie Pete, w Libii Dom Hamida cieszy się poważaniem od wielu pokoleń. My wytwarzamy, kupujemy i sprzedajemy najlepsze wschodnie dywany. Ponieważ mój ojciec jest chory, od dawna już przygotowuje mnie do przejęcia następstwa po nim, mimo że jestem jeszcze bardzo młody.

- Dobrze, ale jaki związek ma z tym wszystkim Ra-Orhon? - zapytał Pete. - Twierdzisz, że to twój antenat, a profesor Yarborough powiedział, że nie wiadomo o Ra-Orhonie ani kim był, ani czego dokonał.

- Profesor wie tylko to, co wyczytał w książkach - powiedział pogardliwie Hamid. - A oprócz książek są jeszcze mędrcy, którym znane są sprawy utrzymywane w tajemnicy przed innymi. Wspominałem ci już o Sardonie. Sześć miesięcy temu przyszedł on do naszego domu. Powiedział mojemu ojcu, że miał wizję i słyszał głos nakazujący mu udać się do Domu Hamida. Ojciec poczęstował go posiłkiem, po czym Sardon wpadł w trans. Mówił wtedy w wielu nieznanym językach, aż wreszcie przemówił przez niego duch Ra-Orhona.

Ra-Orhon powiedział, że wkrótce zostanie wysłany do kraju zamieszkanego przez barbarzyńców o białej skórze i nie będzie mógł spocząć w spokoju dotąd, dopóki nie powróci na rodzinną ziemię. Powiedział, że jest przodkiem Domu Hamida, i wzywał mojego ojca, by przez przywrócenie mu spokoju, ocalił go. Co więcej, Ra-Orhon ustami Sardona oświadczył, że jeśli ojciec uda się do kraju barbarzyńców, by wyrwać go z ich rąk, to on, Ra-Orhon ukaze

mu się pod postacią swojego ulubionego kota. Ma on oczy w różnych kolorach i przednie łapy czarne. Będzie to znak, że wszystko, co usłyszał, jest prawdą, i potwierdzi słuszność sprowadzenia Ra-Orhona do Libii.

Po tych słowach jasnowidz Sardon obudził się i nie pamiętał nic z tego, co powiedział w transie. To jest bardzo stary człowiek, z długimi siwymi włosami i z tylko jednym okiem. Do tego jest kulawy i chodzi o lasce. Nim odszedł, patrzył jeszcze swym jednym okiem w kryształową kulę i powiedział mojemu ojcu wiele dziwnych rzeczy z przeszłości i przyszłości.

- O rany! - przejął się Pete. - I co twój ojciec na to?

- Wysłał Achmeda do Kairu. Tam Achmed dowiedział się, że to wszystko prawda, że w muzeum jest mumia i rzeczywiście ma być wysłana do Stanów Zjednoczonych, do profesora Yarborougha w Kalifornii. Po powrocie powtórzył wszystko ojcu, który w ten sposób przekonał się, że Sardon się nie myli. I wtedy wysłał mnie, swego najstarszego syna, z Achmedem w roli opiekuna, do tego kraju, żeby odzyskać mumię swojego praprapradziadka. Achmed starał się wytłumaczyć sytuację profesorowi, ale on nie chciał o niczym słyszeć i nie oddał Ra-Orhona.

- Tak, profesor go wyrzucił - potwierdził Pete.

- Wtedy Achmed postanowił udawać jednego z ogrodników i dzięki temu mógł przebywać w pobliżu muzeum, i gdyby nadarzyły się sprzyjające okoliczności, zabrać z niego mumię. Ja, żeby mu pomóc w razie czego, również starałem się być jak najbliżej domu. Dlatego rano złapałem mnie w ogrodzie. Jesteśmy obcy w tym kraju i musieliśmy działać ostrożnie, bez pośpiechu.

- Mój Boże - Pete był pod wrażeniem opowieści. - Ale dlaczego wykraść mumię? Może profesor sprzedałby ją wam, gdybyście zaoferowali odpowiednią cenę.

- Nie kupuje się własnego przodka - oświadczył zimno Hamid. - Jediną nadzieją było odebranie go po kryjomu. Wiedzieliśmy, że Sardon tego wszystkiego nie zmyślił, bo jednej nocy duch Ra-Orhona zjawił się w moim pokoju, tak jak jasnowidz przepowiedział, w postaci abisyńskiego kota o oczach w różnych kolorach i z czarnymi przednimi łapami. Tak więc prawdą jest, że Ra-Orhon jest moim przodkiem. A teraz okazuje się, że jeszcze komuś zależy na mumii, bo właśnie ją ukraść. Nie rozumiem... - urwał w zadumie.

Pete czuł lekki zamęt w głowie. Po chwili jednak zaczęła mu świtać pewna myśl.

- Może to Achmed wynajął tych dwóch typów, Joego i Harry'ego, żeby ukradli Ra-Orhona? - zapytał. - Może zrobił to bez twojej wiedzy?

- To niemożliwe! - wykrzyknął Hamid. - Musiałbym o tym wiedzieć! On mi wszystko

mówi. Jestem przyszłą głową Domu Hamida.

- Tak, oczywiście - zgodził się Pete, ale nie był wcale pewny, czy Achmed zwierza się rzeczywiście ze wszystkiego Hamidowi. Mógł mieć swoje własne plany. - Jak wytłumaczysz, że Ra-Orhon zaczął szeptać?

- Nie mam pojęcia. Może jest zły na mnie albo na Achmeda, czy może na profesora? To jest dla mnie wielka tajemnica. - Wewnątrz sarkofagu, w kompletnych ciemnościach, głos Hamida brzmiał bardzo poważnie.

- Dla mnie to nawet potrójna tajemnica - skwitował Pete. - Czujesz? Wygląda na to, że się zatrzymujemy.

I rzeczywiście, ciężarówka zatrzymała się. Usłyszeli odgłos jakby podnoszonych drzwi do garażu czy jakiegoś magazynu. Samochód podjechał znowu parę metrów i ponownie zatrzymał się. Ten sam odgłos, tym razem pewnie opadających drzwi, uświadomił chłopcom, że już są wewnątrz.

Drzwi ciężarówki otworzyły się i po chwili sarkofag został wyniesiony, zresztą niezbyt ostrożnie. Kiedy opuszczono go z hukiem na podłogę, chłopcy odczuli to dotkliwie.

- Chodź, Joe. Nikt tego tu nie ruszy - odezwał się Harry.

- Dobra - zgodził się Joe. - Rano zadzwonimy do klienta i zażądamy podwójnej ceny. Dzisiaj już dajmy sobie spokój.

- Jutro będziemy zajęci. Zapomniałeś o tej robocie w Long Beach?

- Prawda! Dobra, więc pozwolimy martwić się facetowi przez cały dzień. Wieczorem, kiedy zatelefonujemy, będzie już tak ugotowany, że zgodzi się od razu na podwójną cenę.

- A może potroić cenę? - zastanawiał się Harry. - W końcu bardzo mu zależało na tym pudle do kompletu z mumią. Zobaczymy jeszcze, chodźmy.

Trzasnęły otwierane drzwi, zawarczał motor i chłopcy usłyszeli, jak ciężarówka wyjeżdża z pomieszczenia.

Z bijącymi sercami zaczęli pchać wieko. Na próżno. Nawet nie drgnęło. Joe i Harry zostawili je ciasno przywiązane pasami do skrzyni.

ROZDZIAŁ 11

Zmartwienia Boba i Jupitera

Bob Andrews siedział przy maszynie w Kwaterze Głównej i przepisywał swoje notatki. Sprawnie mu to szło, gdyż ukończył kurs pisania na maszynie. Miał dwanaście lat, kiedy ojciec, współpracownik gazety w Los Angeles, namówił go do zrobienia takiego kursu.

Jupiter Jones trzymał na kolanach dziwnego kota, który pojawił się wieczorem koło domu profesora Yarborougha. Kot mruczał głośno, zadowolony. Jupe głaskał go jedną ręką, a drugą skubał dolną wargę.

- Ojej, już za pięć dziesiąta, a Pete'a wciąż nie ma - zauważył Bob.

- Co się z nim mogło stać?

- Może wpadł na jakiś trop? - zastanawiał się Jupe.

- Powinien być w domu najpóźniej o dziesiątej - odparł Bob. - Ja zresztą też. Muszę zaraz się zbierać, bo rodzice będą się martwić.

- Zadzwoń do domu, może pozwolą ci zostać trochę dłużej - poprosił Jupe. - Może Pete zaraz nadejdzie.

Bob wykręcił numer na ich biurowym telefonie, za używanie którego chłopcy płacili pieniędzmi zarobionymi u wuja Jupitera, porządkując i naprawiając używane przedmioty. Gdy panu Jonesowi udawało się je sprzedać, dostawali połowę zysku.

Telefon odebrała matka Boba. Kiedy usłyszała, że syn jest u Jupitera, zgodziła się, by został jeszcze pół godziny.

Jupiter, chcąc zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz Kwatery, położył rozleniwionego kota na podłogę i poszedł do Wszystkowidzącego.

Teren był częściowo oświetlony przez lampy składu, częściowo przez lampy uliczne. Wokół panowała cisza i spokój. W małej willi obok składu, gdzie Jupe mieszkał razem z wujem i ciotką, światło zapalone było w salonie - wujostwo zapewne oglądali telewizję. W domku za willą było ciemno. Mieszkali tam Hans i Konrad, krzepcy pomocnicy pana Jonesa. Jupiter chciałby zapytać Hansa, kiedy i gdzie rozstał się z Pete'em, ale wiedział, że bracia pojechali do kina.

Jupe wolno obracał peryskop. Ulicą przejeżdżał akurat jaskrawoniebieski sportowy samochód. Zwolnił koło wejścia do składu, a po chwili przyspieszył. W świetle ulicznej latarni Jupe dostrzegł za kierownicą wysokiego, chudego chłopaka.

Pierwszy Detektyw zostawił peryskop i wrócił do biurka.

- Nie widać Pete'a, tylko Chudy Norris przejechał.

- Tak? Czego on tu szuka? - wyraził swoje zdziwienie Bob.

- Pewnie chciałby wiedzieć, co robimy. Może domyśla się, że pracujemy nad nową sprawą i próbował zapuścić żurawia do składu.

- Oberwie kuksańca w nos, jak nie będzie uważał - warknął Bob. - Wścibski dryblas.

Chudy Norris był bardzo szczupłym, wysokim chłopcem z długim nosem. Był nieco starszy od Trzech Detektywów. Jego życiową ambicją było wykazanie wszystkim, że jest sprytniejszy od Jupitera. Jak dotąd jego wysiłki szły na marne i to zaciętrzewiało go jeszcze bardziej, i zachęcało do dalszej rywalizacji z Jupe'em, Pete'em i Bobem.

Jupe nie myślał jednakże o Chudym Norrisie. Był bardziej zaniepokojony nieobecnością Pete'a, niż to okazywał. Zaczynał się zastanawiać, czy nie podjęli się zbyt trudnego zadania i czy nie powinien zwrócić się o pomoc do policji. Był jednak ambitnym chłopcem i wcale nie uśmiechało mu się takie postawienie sprawy, byłaby to przecież porażka. Poza tym profesorowi Yarboroughowi bardzo zależało na uniknięciu rozgłosu.

Po rozważeniu wszystkich możliwości podjął decyzję.

- Odczekamy jeszcze pół godziny. Jeśli Pete nie zjawi się, przystąpimy do działania.

Bob przerwał pisanie. Wszystkie zdarzenia wirowały mu w głowie jak na karuzeli - szepcząca mumia, która znika, przewracający się posąg, tocząca się granitowa kula, kot z dziwnymi oczami, egipska klątwa. Nie był już w stanie trzeźwo myśleć.

- Jupe - odezwał się - lepiej pójdę do domu. Jestem wykończony.

- Wszyscy potrzebujemy porządnego odpoczynku - zgodził się Jupe - ale ja zostanę jeszcze trochę, może Pete w końcu przyjdzie albo chociaż zatelefonuje.

- Dlaczego nie użyjesz walkie-talkie? - zapytał Bob. - Może akurat tą drogą Pete usiłuje skontaktować się z nami?

- Powinny mieć większy zasięg - mruknął Jupe. - Muszę je przebudować. No, ale spróbujmy.

Przycisnął przycisk odbiornika i zaczął nadawać.

- Kwatera Główna wzywa Drugiego Detektywa. Odezwij się, Drugi. Odezwij się, jeśli mnie słyszysz.

Z głośnika płynęły jakieś szумы, ale nikt się nie zgłaszał.

- Albo nie włączył aparatu, albo jest poza zasięgiem. Zostawię to włączone, a ty idź do domu.

Bobowi nie chciało się już nawet kręcić pedałami roweru. Był tak pochłonięty rozmyślaniami, że wchodząc do mieszkania nie usłyszał dwukrotnego wołania ojca.

- O czym tak intensywnie myślisz, Bob? - Szkoła się skończyła, więc chyba nie o egzaminach?

- O sprawie, nad którą właśnie zaczęliśmy pracować - Bob przycupnął na poręczy fotela, w którym siedział pan Andrews. - Jest bardzo tajemnicza.

- Chcesz mi o niej opowiedzieć?

- Częściowo jest z nią związany kot o jednym oku niebieskim a drugim pomarańczowym - powiedział Bob.

- Uhhh - pan Andrews zaczął nabijać fajkę.

- Ale przede wszystkim chodzi o mumię, która szepcze. Jak może szeptać mumia, która ma trzy tysiące lat?

- To proste - zaśmiał się ojciec. - Tak samo, jak może mówić drewniana kukła.

- Jak, tato? - zapytał Bob z żywym zainteresowaniem.

- Dzięki brzuchomówstwu - odparł ojciec zapalając fajkę. - Pomyśl logicznie, przecież mumia nie może ani mówić, ani szeptać. Musi więc ktoś tak aranżować sytuację, by wyglądało na to, że szepcze. Można to uczynić właśnie przy pomocy brzuchomówstwa. Jaki stąd wniosek? Jeśli masz mumię, która szepcze, szukaj w jej sąsiedztwie brzuchomówcy.

- Wiesz, tato, to może być rozwiązanie. Przepraszam cię, ale muszę zatelefonować do Jupe'a.

- Naturalnie - pan Andrews uśmiechnął się patrząc za Bobem idącym przez hali do telefonu.

Dobrze pamiętał swoje dzieciństwo i różne dziwne rzeczy, które go interesowały. Nie pozostawało to bez znaczenia - był bardziej wyrozumiały dla syna i jego zainteresowań.

Bob szybko wykręcił numer Kwatery Głównej.

- Miałem nadzieję, że to Pete - odezwał się rozczarowany Jupe. - Co masz mi do przekazania, Bob?

- Rozmawiałem przez chwilę z moim ojcem o tym zagadkowym szepcie.

Powiedzie, że przy pomocy brzuchomówstwa można sprawić wrażenie, że mumia szepcze. Zasugerował, żebyśmy poszukali w sąsiedztwie brzuchomówcy.

- Myślałem o tym - odpowiedział Jupe - ale brzuchomówca działający na odległość musiałby posłużyć się radiem. Ten sposób już wykluczyliśmy, jak pamiętasz. Natomiast kiedy przebrałem się za profesora Yarborougha, mumia do mnie szeptała, a chyba wiesz, że ja nie jestem brzuchomówca. Tak więc to nie jest odpowiedź.

- W każdym razie pomyśl o tym jeszcze - zaproponował Bob. - Ktoś mógłby chować się tuż za drzwiami. Ale powiedz, dzwoniłeś do profesora, żeby sprawdzić, czy nie ma tam

Pete'a?

- Zaraz to zrobię i pomyślę jeszcze nad tym brzuchomówcą. Wydaje się to niemożliwe, ale Sherlock Holmes powiedział, że gdy rozpatrzysz i odrzucisz wszystkie inne odpowiedzi to ta, która zostanie, musi być prawdziwa.

Na tym zakończyli rozmowę i Bob poszedł do łóżka. Martwił się o Pete'a, ale nie był już w stanie nic mądrego wymyślić.

Jupiter zatelefonował do profesora Yarborougha. Nikt nie podchodził do aparatu. Widocznie profesor był nadal z Wilkinsem w szpitalu.

W tym czasie Pete i Hamid ze wszystkich sił próbowali unieść wieko sarkofagu, pragnąc się z niego wydostać. Niestety, na próżno. Nagle usłyszeli odgłos wracającej ciężarówki. Musieli zaprzestać prób. Drzwi pomieszczenia, w którym byli uwięzieni, podniosły się. Ciężarówka wjechała i zatrzymała się.

- Dobrze, że pomyślałeś o przykryciu tego - mówił jeden z mężczyzn. - Nikt tu nie powinien wchodzić oprócz nas, ale nigdy nic nie wiadomo, lepiej nie budzić ciekawości.

Chłopcy usłyszeli szelest ciężkiej tkaniny układanej na sarkofagu.

- To nam odetnie dostęp powietrza - przeraził się Pete. - Chyba zacznę krzyczeć, przecież nie możemy dać się zadusić.

Właśnie nabierał tchu, żeby wrzasnąć jak najgłośniej, kiedy usłyszał słowa, po których wstrzymał oddech i nie wydał z siebie najmniejszego dźwięku.

ROZDZIAŁ 12

Ucieczka

- Słuchaj, Joe - mówił mężczyzna o imieniu Harry. - Jutro będą nam potrzebne te pasy.

- Masz rację - przyznał Joe. - Bierzemy je.

Pete i Hamid czekali w napięciu. Usłyszeli znowu szelest, tym razem ściąganej tkaniny, potem sarkofag zakołysał się - mężczyźni odpinali i wyciągali spod niego pasy. W chwilę później płachta została na niego zarzucona ponownie. Usłyszeli odgłos uruchamianego motoru. Ciężarówka wyjechała, a drzwi zatrzasnęły się za nią.

Pete i Hamid zaczęli pchać wieko do góry. Ustąpiło bez większego trudu. Wygramolili się ze skrzyni i na czworakach wypęzli spod ciężkiego brezentu.

Nie mogli dokładnie wszystkiego widzieć, ponieważ w pomieszczeniu panowała ciemność. Jedynie z małego okienka w suficie sączyło się trochę światła z ulicznej latarni. To pozwoliło im zobaczyć, że znajdują się w magazynie o wysokich betonowych ścianach, bez okien.

Ruszyli na zwiady. Najpierw znaleźli duże metalowe drzwi, dokładnie zamknięte od zewnątrz. Zaledwie drgnęły, gdy próbowali je otworzyć.

Potem zaczęli się rozglądać po całym magazynie. Jego zawartość zdawała się być bardzo różnorodna. Najpierw przyciągnął ich uwagę stary samochód. Przy słabym świetle, pomagając sobie dotykiem, rozpoznali eleganckiego czterodrzwiowego pierce'a-arrowa.

- Stare auto - stwierdził zdziwiony Hamid. - Po co je tu trzymają?

- To antyk, prawdopodobnie z dwudziestego roku. Takie samochody są bardzo cenne dla kolekcjonerów - tłumaczył Pete.

Następnie natknęli się na znaczną ilość mebli. Były masywne i bogato rzeźbione, sprawdzili to przesuwając po nich dłońmi. Wszystkie umieszczone były na podwyższonej drewnianej platformie.

- To po to, żeby uchronić je od wilgoci - zauważył Pete. - A to, co to jest? Ta wielka sterta?

Podkseytowany Hamid zaczął macać kopiec utworzony z około tuzina długich, grubych wałków, ułożonych w piramidę.

- Dywany! - wykrzyknął. - Wschodnie dywany! Tak! Dobrze, bardzo cenne.

- Skąd wiesz, przecież jest ciemno. Widać tylko, że to dywany.

- Moje palce mi to mówią. Od ósmego roku życia ojciec uczył mnie rozpoznawać dotykiem dywany z każdego miejsca Wschodu. To kwestia splotu, rodzaju wełny i wielu innych szczegółów. Żaden z nich nie jest z Domu Hamida, ale są bardzo kosztowne. Pięć, sześć tysięcy dolarów każdy.

- Mogą być kradzione - powiedział Pete. - Założę się, że wszystko, co jest w tym magazynie, pochodzi z kradzieży, a ci dwaj, Joe i Harry, to zawodowi złodzieje. Pewnie dlatego zostali wynajęci do kradzieży mumii z sarkofagiem.

- Tak, czuję, że masz rację - zgodził się Hamid. - Ale jak my się stąd wydostaniemy?

- Tu są jakieś inne drzwi! - Pete znalazł małe drzwi, niemal niewidoczne w ciemnościach. Były osadzone w ceglanej ścianie, która zdawała się oddzielać magazyn od reszty budynku.

Nacisnął klamkę. Były zamknięte. Zauważyli obok następne drzwi, ale prowadziły one tylko do ubikacji.

- Sądzę - odezwał się wreszcie Pete - że jest to przechowalnia skradzionych rzeczy i nikt poza tymi dwoma facetami nie ma tu wstępu. Ale chyba istnieje jeszcze jedna droga, którą można się stąd wydostać.

- Jaka? - spytał Hamid. - Skoro są tylko gołe ściany i pozamykane drzwi.

- Popatrz tam - Pete wskazał ręką okienko w suficie. Pojedynczy świetlik, który wpuszczał odrobinę światła do magazynu, był lekko uchylony. Tylko że znajdował się na wysokości ponad trzech i pół metra nad głowami chłopców.

- Gdybyśmy umieli fruwać, moglibyśmy się wydostać tamtędy - zażartował ponuro Hamid.

- Zobaczymy, co się da zrobić - Pete badał wzrokiem sytuację. - Popatrz, ten stary samochód stoi prawie pod świetlikiem.

- Rzeczywiście - ożywił się Hamid. - Szybko, sprawdźmy, czy ten samochód jest wystarczająco wysoki.

- Spokojnie, Hamid - Pete zatrzymał chłopca, który już zamierzał wdrapać się na dach wielkiej, starej limuzyny. - Porysujesz butami karoserię i uszkodzisz samochód, który jest niemal muzealnym eksponatem.

Zdjęli buty, powiązali je sznurowadłami i zawiesili sobie wokół szyi, po czym wspięli się na dach samochodu. Ale nawet wyciągając się maksymalnie Pete nie mógł dosięgnąć świetlika. Dzieliło go od niego ponad trzydzieści centymetrów, w dodatku okienko nie znajdowało się dokładnie nad dachem samochodu.

- Przecież nie możemy tutaj zostać. Będę skakał, Hamid - zdecydował Pete.

Skoczył. Dłonią uchwycił metalową krawędź uchylonego świetlika. Chwilę zmagał się z okienkiem, aż otworzył je na oścież. Następnie podciągnął się na rękach w górę i przecisnął na zewnątrz, na dach pokryty papą. Natychmiast pojawił się z powrotem w świetliku, pochylił się i wyciągnął ręce w stronę Hamida.

- Odbij się mocno, Hamid. Złapię cię. Musisz chwycić tylko moje ręce.

Mniejszy chłopiec zawahał się. Popatrzył w dół na betonową posadzkę. Wreszcie spojrzawszy zdecydowanie na Pete'a, wyrzucił w górę ramiona i odbił się od dachu samochodu.

Jego palce zaledwie musnęły nadgarstki Pete'a, gdy ten szybko objął dłońmi szczupłe przeguby rąk Hamida i podciągnął go w górę. Po sekundzie siedzieli obok siebie na dachu.

- Jesteś bardzo silny i równie odważny, Detektywie Pete - powiedział z pełnym podziwem Hamid.

Pochwała sprawiła Pete'owi przyjemność.

- Codziennie w sali gimnastycznej robię trudniejsze sztuczki - powiedział niedbale. - Teraz wkładamy buty i zlazimy z tego dachu.

Z przodu dach dotykał wysokiej ceglanej ściany frontowego budynku. Tędy nie mogli zejść, ale z tyłu była metalowa drabinka umożliwiająca wchodzenie na dach. Szybko zeszli po niej w ciemną alejkę. Tu przystanęli próbując się zorientować, gdzie w ogóle są.

Pete wyjął z kieszeni kawałek niebieskiej kredy i narysował kilka znaków zapytania w dolnym, lewym rogu drzwi wjazdowych do magazynu.

- To nasz znak - wyjaśnił Hamidowi. - Pomoże nam znaleźć miejsce ukrycia sarkofagu, kiedy po niego wrócimy. Teraz chodźmy tą alejką na ulicę. Musimy poznać adres tego budynku i... O kurczę, ktoś idzie. Chodźmy lepiej w drugą stronę, do tamtej ulicy za nami.

Ruszyli pospiesznie długą alejką między czarnymi, pozamykanymi tylnymi drzwiami sklepów, aż wyszli na słabo oświetloną, biegnącą w dół ulicę. Pete nie rozpoznawał tu niczego i wiedział, że nigdy nie był w tej części miasta.

- Musimy się dowiedzieć, gdzie jesteśmy - powiedział do Hamida. - Chodź, dojdziemy do rogu. Przeczytamy nazwę ulicy i zanotujemy, żeby potem nie było kłopotu z odnalezieniem tego miejsca.

Niestety, tabliczka z nazwą ulicy na rogu była tak zniszczona i pocięta, że nie mogli nic odczytać. Ktoś musiał rzucić w nią kamieniem i zniszczyć kompletnie.

- Do diabła, co za ludzie! - oburzył się Pete.

Nagle, z bocznej ulicy dobiegł do nich odgłos tłuczonego szkła i dwaj mężczyźni błyskawicznie ich wyminęli, wskoczyli do samochodu i odjechali z piskiem opon. Jeszcze

chłopcy nie zdążyli oderwać wzroku od znikającego samochodu, gdy usłyszeli za sobą wściekły krzyk. Przerazili się.

- Łapać złodziei! - ryczał jakiś mężczyzna. - To wy, łobuzy! Rozbiliście moją szybę wystawową! Ukradliście moje zegarki! Niech no ja was dostanę!

Wielki mężczyzna, wymachując pięściami, biegł wprost na nich. Najwyraźniej był pewny, że to oni dokonali napadu.

Pete odruchowo złapał Hamida za rękę i krzyknął:

- Wiejemy!

Biegli. Najpierw w górę jednej ulicy, potem w dół drugiej, przez alejki na tyłach domów. Do ścigającego mężczyzny dołączyli inni ludzie, a także dwa psy. Chłopcy biegli najszybciej, jak mogli, do utraty tchu i orientacji w terenie, aż udało im się zgubić ostatniego ze ścigających. Wreszcie mogli się zatrzymać.

- Może powinniśmy postarać się wytłumaczyć temu facetowi - Pete z trudem łapał oddech - że to nie my rozbiliśmy szybę. - Nabrał więcej powietrza. - Prawdę mówiąc, nim zdążyłem pomyśleć, już uciekaliśmy.

- Jak ktoś wrzeszczy "złodziej" i biegnie wprost na ciebie - dyszał Hamid - to ucieczka jest jak najbardziej naturalnym odruchem. Nie masz co się winić.

- Kłopot z tym - Pete wciąż ciężko oddychał - że nie zdążyliśmy się zorientować, gdzie byliśmy. Dzieli nas od tego miejsca wiele ulic, to wszystko, co wiem. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, że nie mamy zielonego pojęcia, gdzie mieści się ten magazyn?

- To prawda - zasępił się Hamid. - Do tego są jeszcze inne problemy... No nie, Detektywie Pete?

- Pewnie, że są. Jak odnajdziemy to miejsce i jak wrócimy do domu.

Jesteśmy ze czterdzieści kilometrów od Rocky Beach i przeszło dwadzieścia pięć kilometrów od Hollywoodu. Znajdujemy się gdzieś w centrum Los Angeles.

- Weźmy sówkę - zaproponował Hamid.

- Taksówkę? - poprawił go Pete. - Na to trzeba mieć pieniądze.

- Och, ja mam pieniądze - zapewnił go Hamid. - Achmed daje mi pieniądze na wszelki wypadek. Mam dużo amerykańskich dolarów - pokazał Pete'owi portfel wypchany banknotami.

- Świetnie! Wreszcie coś pozytywnego - powiedział Pete i wskazując na dół ulicy dodał: - Może tam znajdziemy taksówkę.

Pospieżyli we wskazanym kierunku. Na rogu znaleźli postój i taksówkę, której kierowca upewniwszy się, że Hamid rzeczywiście ma czym zapłacić, skwapliwie zgodził się

na długi kurs.

Pete, nim wsiadł do taksówki, zanotował nazwę ulicy, na której się znajdowali. Był to jedyny punkt zaczepienia, gdyż postój znajdował się stosunkowo niedaleko od magazynu, w którym ukryty był sarkofag Ra-Orhona. Skorzystał też z budki telefonicznej, by jak najszybciej powiedzieć Jupiterowi parę słów o sobie.

- Wszystko w porządku - mówił do słuchawki. - Ruszam właśnie do domu. Nie będę teraz rozgadywał się przez telefon, bo za dużo mam ci do powiedzenia. Zadzwoń, jak tylko dotrę na miejsce.

- Użyj walkie-talkie - powiedział Jupe. - Będę czekał u siebie w pokoju. Całe szczęście, że cię słyszę, Drugi.

W głosie Jupe'a brzmiała tak wielka ulga, że Pete nie miał wątpliwości co do tego, jak bardzo przyjaciel musiał się o niego martwić. Ale niech no tylko Jupe się dowie, że Drugi był w miejscu, w którym ukryto sarkofag, a właściwie nie wie, gdzie to jest.

Wskoczyli z Hamidem do taksówki i ruszyli w drogę powrotną. Podróż przebiegała gładko. Hamid nalegał, żeby najpierw odwiedzić Pete'a. Powiedział, że potem wróci taksówką do domu, który wynajęli z Achmedem niedaleko willi profesora Yarborougha.

Kiedy Pete już wysiadał, Hamid złapał go za ramię.

- Detektywie Pete - zwrócił się do niego - czy ty i twoi przyjaciele nie pomoglibyście mi odnaleźć Ra-Orhona i sarkofag? Ja Hamid z Domu Hamida pragnąłbym was zaangażować.

- No, oficjalnie mumia należy do profesora Yarborougha i my już dla niego pracujemy - odparł Pete.

- Pracujcie też i dla Hamida - nalegał chłopiec. - Tylko, żeby odszukać Ra-Orhona i sarkofag. Zwróćcie go profesorowi, a potem my z Achmedem postaramy się go przekonać, by oddał nam mumię.

- Chyba da się to zrobić, ale musisz porozmawiać z Jupe'em. Bądź jutro rano, o dziesiątej w składzie Jonesa.

Hamid zgodził się. Pożegnali się i Pete pospieszył do domu, uświadamiając sobie, jak bardzo jest już późno. Rodzice oglądali telewizję. Ojciec Pete'a, potężny, dobrze zbudowany mężczyzna, zajmował się efektami specjalnymi w filmach i pracował w studio w Hollywoodzie.

- Spóźniłeś się, Pete - powiedział - niepokoił się z mamą.

- Tak, wiem. Przepraszam - odparł Pete. - Widzisz, tato, zacząłem od polowania na zaginionego kota i... no, zostałem jakby odstawiony na boczny tor.

Już zamierzał opowiedzieć całą historię, gdy usłyszał głos matki:

- Idź się wykapać, synu, i szybko wskakuj do łóżka. Mój Boże, jak ty się potrafisz wybrudzić.

- Dobrze, mamu - Pete wbiegł po schodach na górę. Szybko wszedł do swojego pokoju, otworzył okno, wywiesił na zewnątrz pas z anteną i wcisnął guzik na pozycję "mów".

- Drugi Detektyw wzywa Pierwszego - powiedział. - Czy mnie słyszysz? Pierwszy, odezwij się.

Przestawił przycisk i czekał. Niemal natychmiast usłyszał głos Jupe'a.

- Tu Pierwszy Detektyw - mówił. - Jestem już w łóżku, opowiadaj. Czy jesteś cały i zdrowy? Co się stało?

Pete zdał mu relację z wieczornych wydarzeń, trzymając się najistotniejszych faktów. Na koniec wyznał, że nie zna miejsca, do którego wraz z Hamidem został zabrany w sarkofagu.

- Nie można mieć do ciebie pretensji, Drugi. I tak byłeś bardzo dzielny. Jakoś znajdziemy to miejsce. Rano musimy się zebrać. Wyłoniło się kilka nowych spraw, które jeszcze bardziej gmatwiają sytuację. Jeszcze jedno. Mam kota, o którym wspominałeś, w którego, według Hamida, wstąpił duch Ra-Orhona. Ale to nie jest kot z duchem Ra-Orhona. Z tego, co mi powiedziałeś, wnioskuję i w zasadzie jestem już zupełnie pewien, że jest to kot pani Banfry w przebraniu.

I Jupe wyłączył się, a Pete po kąpieli położył się do łóżka, w którym przewracał się z boku na bok, rozbudzony ciekawością.

Jak kot może być w przebraniu?

ROZDZIAŁ 13

Podejrzenia Jupitera

Następnego ranka Trzej Detektywi zebrali się w Kwaterze Głównej. Z wyrazu twarzy Jupitera, Pete i Bob odgadywali, że tej nocy przemyślał on wiele spraw. Ale Jupe nie śpieszył się z zaspokojeniem ich ciekawości i wyjawieniem, do jakich wniosków doszedł.

- Nie lubię zgadywać - oświadczył. - Najpierw musimy odbyć naszą konferencję, ale nie zaczniemy bez tego chłopca, Hamida.

Pete przy pomocy Wszystkowidzącego zobaczył wreszcie wjeżdżającą do składu taksówkę i wysiadającego z niej Hamida. Pospieszył przez Tunel Drugi na spotkanie, by tą drogą przyprowadzić gościa do Kwatery Głównej. Hamid był klientem, który miał niebawem wrócić do domu w Libii, chłopcy więc nie widzieli powodu, dla którego mieliby nie pokazać mu swojej siedziby.

- Hamid, to jest Bob Andrews prowadzący dokumentację - dokonywał prezentacji Pete - a to Pierwszy Detektyw, Jupiter Jones.

- To dla mnie wielki zaszczyt móc poznać Boba i Pierwszego Detektywa Jupitera - odparł oficjalnie Hamid.

- Teraz - przystąpił do rzeczy Jupiter - pragnę usłyszeć w całości historię, która przytrafiła się wam wczoraj wieczorem, od momentu naszego rozstania. Bob, notuj.

Pete rozpoczął opowieść od przytoczenia rozmowy z panią Banfry o zaginionym Sfinksie. Potem przeszedł do wydarzeń mających miejsce w domu profesora Yarborougha i do pozostałych wieczornych przygód. Bob, który wraz z pisaniem na maszynie uczył się też stenografii, zapisywał wszystko skrupulatnie. Dopiero teraz dowiedział się o kradzieży sarkofagu, ukryciu się chłopców wewnątrz skrzyni i innych wydarzeniach.

- O rany! - wykrzyknął, gdy tylko Pete skończył. - Mówisz, że byłeś w magazynie, w którym złodzieje ukryli sarkofag, i nawet nie znasz jego adresu?

- Mówiłem, że uciekaliśmy jak wariaci. Nie mieliśmy czasu na przystawanie i odczytywanie nazw ulic. Ale znam sąsiedztwo i nazwę ulicy o jakieś dwadzieścia przecznic dalej.

- Dwadzieścia przecznic! - zawołał Bob. - To ze czterysta bloków do przeszukania, jeśli weźmiesz domy po obu stronach ulicy, którą znasz. A jeśli tylko połowa ulic połączona jest alejami na zapleczu...

- Pamiętaj, że Pete zaznaczył drzwi tego magazynu naszym znakiem - przerwał mu

Jupe. - Jak znajdziemy znaki zapytania, będziemy wiedzieli, że to właśnie tam.

- Ale my mamy czas tylko do wieczora - upierał się Bob. - Przeszukać te wszystkie alejki...

- Mam pewien plan - znowu przerwał mu Jupiter - ale to zabierze trochę czasu. Skoncentrujemy się teraz na tajemnicy szepczącej mumii.

- Mumii Ra-Orhona, antenata Domu Hamida - wtrącił Hamid. - Czy wiecie już, jak ją znaleźć?

- Jeszcze nie - odparł Jupe, skubiąc wargę. - Ale muszę tu wprowadzić poprawkę, Hamid. Nie sądzę, aby Ra-Orhon był twoim przodkiem.

Hamid spojrzał na niego ze złością, zaskoczony jego słowami.

- Ale Sardon powiedział, że jest - oświadczył z uporem. - Sardon jest jasnowidzem. Ma dar języków i prorocstwa. Wpadł w trans i duch przez niego przemówił. Jest człowiekiem o wielkiej mocy i mój ojciec mu uwierzył, dlatego i ja wierzę, że mówił prawdę.

- Prawdą jest - zaczął Jupe - że królowie z Libii przejęli władzę w Egipcie w czasie panowania Dwudziestej Dynastii około trzech tysięcy lat temu.

- Ra-Orhon był księciem libijskim - wtrącił Hamid. - Sardon tak powiedział.

- Być może - nie kwestionował Jupe. - Nawet profesor Yarborough nie jest pewien, kim był Ra-Orhon i kiedy został pochowany. Mógł być libijskim księciem, ale niekoniecznie twoim przodkiem, Hamidzie.

- Sardon tak powiedział! - Hamid zaciętrzewiał się coraz bardziej.

- Sardon jasnowidz mówił prawdę.

- Niezupełnie - odpowiedział Jupe. - Mylił się co do kota. A jeśli nie mówił prawdy w jednej sprawie, wszystko pozostałe też nie musi być prawdziwe.

- Nie rozumiem - warknął niecierpliwie Hamid.

- A więc - tłumaczył Jupiter - według tego, co mówiłeś, jasnowidz Sardon przepowiedział, że jak znajdziesz się w Ameryce, objawi ci się duch Ra-Orhona w postaci jego ulubionego kota abisyńskiego o oczach w różnych kolorach i przednich łapach czarnych. Miało to być niejako potwierdzeniem jego prawdomówności.

- Tak jest - powiedział Hamid z naciskiem. - I to się stało. Duch Ra-Orhona przez reinkarnację wstąpił w kota, bo pojawił się on w jakiś zagadkowy sposób w moim pokoju. Było to którejś nocy w zeszłym tygodniu.

- Właśnie, ale... - zaczął Jupe i zaraz przerwał mu Pete:

- Co tak naprawdę oznacza słowo reinkarnacja? Zdawało mi się, że wiem, ale w końcu nie jestem pewien.

- W religiach Środkowego Wschodu - odezwał się znowu Jupiter - istnieje wiara w wielokrotne odradzanie się człowieka po śmierci, przez wstępowanie jego duszy w ciało innej istoty, na przykład małego zwierzątka czy nawet owada. To jest właśnie reinkarnacja.

- I prędzej czy później odrodzi się znowu jako człowiek - dodał Bob.

- I duch Ra-Orhona odrodził się w abisyńskim kocie, dokładnie takim samym, jakim był jego ulubiony kot, pochowany wraz z nim - odezwał się Hamid. - Tak jak powiedziałaś, Pierwszy Detektywie Jupiterze, ma on oczy w odmiennych kolorach i przednie łapy czarne.

- Otóż to - powiedział Jupe. - Chcę wam teraz coś pokazać, coś ważnego.

Zniknął w małym laboratorium obok biura i wrócił z mruczącym kotem na rękach.

- Ra-Orhon! - ucieszył się Hamid. - Szacowny przodku, jestem szczęśliwy, że jesteś bezpieczny.

- Wczoraj wieczorem kręcił się w krzakach koło domu profesora Yarborougha - wyjaśnił Jupe. - Wziąłem go do domu, żeby się nim zaopiekować. A teraz patrzcie uważnie.

Jupiter wyjął chusteczkę i zamoczył ją w jakimś płynie. Następnie potarł nią jedną z czarnych łap kota. Na chusteczce pojawiła się czarna plama, a łapa kota zrobiła się prawie całkiem biała.

- Kot tak naprawdę ma przednie łapy białe - zwrócił się do Hamida. - Widzisz? Jest to Sfinks, kot pani Banfry. Ufarbowano mu łapy i rzeczywiście wyglądał jak kot, którego pojawienie się przepowiedział Sardon.

Teraz Pete zrozumiał, co Jupe miał na myśli mówiąc o kocie w przebraniu.

- Dobry Boże! - powiedział. - Po co ktoś miałby przerabiać kota?

Mały Hamid wziął kota od Jupe'a. Przyglądał się jego białej łapie, która jeszcze przed chwilą była czarna.

- To prawda! - ożywił się. - Łapy kota zostały przefarbowane. To nie może być duch Ra-Orhona. Sardon z całą pewnością twierdził, że kot, który mi się ukaże, będzie miał przednie łapy czarne, jak ulubiony kot Ra-Orhona.

- Tak więc, jesteśmy zgodni co do tego, że to kot pani Banfry - podsumował Jupe, siadając na swoim miejscu. - Sfinks został przefarbowany, a ty nie wiedząc o tym, uwierzyłeś, że przepowiednia Sardona się sprawdza.

- Ale dlaczego? - zapytał Hamid, a Pete za nim powtórzył pytanie:

- Dlaczego?

- Żeby Hamid i jego ojciec uwierzyli w pozostałą część historii. W to, że Ra-Orhon jest ich przodkiem, i postarali się odebrać profesorowi Yarboroughowi mumię. Jestem całkiem pewny, że Ra-Orhon nie jest twoim antenatem.

- Ra-Orhon jest moim antenatem - czarne oczy Hamida nagle zabłyśły nieprzyjaźnie.

Widać było, że walczy ze łzami cisnącymi się do oczu. Jupiter wrócił do wydarzeń poprzedniego wieczoru.

- Dowiemy się prawdy, gdy nakryjemy złodzieja mumii i poznamy motywy jego postępowania - powiedział taktownie. - Pete zrelacjonował nam wczorajsze zdarzenia. Teraz może ty, Hamidzie, zechcesz powtórzyć nam to, co powiedziałeś wczoraj Pete'owi tak, żeby Bob mógł zrobić notatki.

Hamid chętnie się zgodził. Opowiedział o przybyciu do jego domu w Libii kulawego i na wpół ślepego, wędrownego jasnowidza Sardona. Mówił o transie, w jaki wpadł Sardon, i o tym, jak duch Ra-Orhona przemówił jego ustami i błagał ojca Hamida, żeby wyrwał go z rąk barbarzyńców w dalekim kraju.

Dalej opowiadał, jak przybyli z Achmedem do Kalifornii i wynajęli dom w pobliżu rezydencji profesora Yarborougha. Jak potem profesor odmówił Achmedowi oddania Ra-Orhona i jak Achmed przekupił braci Magasay, by pozwolili mu pracować u profesora w zastępstwie prawdziwego ogrodnika. W ten sposób był zawsze blisko mumii, czujnie wyczekując odpowiedniego momentu.

- Aha! - odkrywco zawołał Bob. - To ten człowiek, który kręcił się wciąż koło domu i przybiegł, gdy walczyłeś z Pete'em, był Achmedem! Nic dziwnego, że udało ci się uciec.

- Achmed powiedział mi, żebym go ugryzł w rękę, i ja to zrobiłem - powiedział z dumą Hamid. - On jest bardzo mądry.

- Powiedz, mi, Hamidzie, czy ty i Achmed wiedzieliście coś na temat klątwy związanej z mumią? - zapytał Jupe.

- No pewnie. Sardon nam o niej powiedział. Mówił, że Ra-Orhon nie będzie mógł spocząć w spokoju, póki nie wróci do swojego kraju i nie zostanie należycie pochowany.

- W domu profesora zaszły pewne dziwne wypadki - mówił Jupe. - Przewrócił się posąg Annubisa, maska spadła ze ściany. Podejrzewam, że to Achmed był sprawcą tych niby przypadkowych zdarzeń.

- Tak - Hamid pokazał w uśmiechu białe zęby. - Nikt nie zwracał na niego uwagi, bo był w przebraniu ogrodnika. Stał na tarasie. Posługując się długim kijem, przez otwarte okno pchnął statwę. W podobny sposób później zrzucił ze ściany maskę. On też wykruszył umocowanie kamiennej kuli, by mogła się stoczyć. Starał się przestraszyć profesora i w ten sposób obudzić w nim chęć pozbycia się mumii obciążonej klątwą.

- Tak też myślałem - powiedział Jupe. - Oto, jak łatwo można sprowokować do działania starą egipską klątwę. Wystarczy "pomoc" ogrodnika, który naprawdę jest

przeciwnikiem w przebraniu.

- Dobrze, w porządku - odezwał się Pete - ale jak wytłumaczysz kradzież Ra-Orhona? Hamid przysięga, że nie ma z tym nic wspólnego. Kto ukradł kota pani Banfry? Po co przefarbowano mu łapy i przemycono do pokoju Hamida? Wygląda na to, że mamy jeszcze wiele tajemniczych zagadek do rozwiązania.

- Tak - przyłączył się Bob. - Nie wspomnieliśmy jeszcze, że mumia szepcze do profesora, Hamid o tym nie wiedział. Jak to wytłumaczysz?

- Nie wszystko naraz - zniecierpliwiał się Jupiter. - Hamid, czy naprawdę widziałeś, jak ci dwaj mężczyźni, Joe i Harry, kradli Ra-Orhona?

- Tak. Ostatniego wieczoru Achmed skarżył się, że bolą go ręce, i chciał odpocząć. Więc kiedy się ściemniło, wśliznąłem się do ogrodu, żeby mieć dalej na oku dom profesora. Kot przyszedł za mną. Trafiłem w samą porę. Dwaj mężczyźni wynosili z domu owiniętego materiałem Ra-Orhona, wrzucili go do ciężarówki.

- To było wtedy, kiedy pojechaliśmy do profesora Freemana - zauważył Bob.

- Czekałem w krzakach, nie wiedząc co robić - ciągnął swą opowieść Hamid - gdy nadjechał Detektyw Pete. Widziałem, że chodził po domu. Potem wyszedł na taras i wziął mojego kota. Zdenerwowałem się i pomyślałem, że to pewnie on razem z wami ukradł Ra-Orhona, a do tego zabiera mi kota. Rozzłościłem się bardzo i zaatakowałem go. Przykro mi, Detektywie Pete.

- Nic się nie stało - odparł Pete. - Dzięki temu poznaliśmy się i połączyliśmy nasze siły w rozwiązywaniu tej niesamowicie pogmatwanej tajemnicy.

- Hmm - Jupiter znowu szczypał wargę w zamyśleniu. - Jak dotąd, obraz, chociaż skomplikowany, jest jasny.

- Za to twoje stwierdzenie jest niejasne - oświadczył Pete. - Moim zdaniem ta tajemnica robi teraz zamęt w głowie większy niż kiedykolwiek.

- Chciałem powiedzieć - poprawił się Jupiter - że wydaje mi się, iż mamy wszystkie fakty. Teraz trzeba by je jakoś połączyć i znaleźć sens.

Bob pomyślał, że chciałby wykryć ten sens we wszystkich faktach, które opisał. Ale im bardziej zastanawiał się nad nimi, tym bardziej czuł się zagubiony.

- Wierzę - powiedział Juve - że jeśli uda nam się ustalić miejsce ukrycia sarkofagu, to tym samym znajdziemy się na właściwej drodze do rozwiązania tajemnicy. Proponuję odnaleźć magazyn i czekać. Niewątpliwie dziś wieczór Harry i Joe dostarczą sarkofag nieznanemu klientowi, posiadającemu już mumię Ra-Orhona. Śledząc ich dotrzemy do niego - głównego przestępcy, stojącego za całą machinacją, i odzyskamy mumię.

Jupiter był najwyraźniej uszczęśliwiony perspektywą złapania na gorącym uczynku kogoś, kogo można było nazwać głównym przestępcą.

- Wtedy - mówił dalej - będziemy mieli przestępcę, mumię i sarkofag. I wtedy wyjaśnią się pozostałe niejasności.

- Wspaniale - powiedział Pete z sarkazmem. - Po prostu wspaniale. Skoro mamy do przeszukania te wszystkie ulice i aleje, to lepiej ruszajmy. Ta praca może nam zabrać tydzień lub dwa, a my mamy tylko osiem godzin.

- Mój plan tego nie przewiduje - poinformował kolegów Juve. - Dziś wczesnie rano uczyniłem pewne kroki. Czy pamiętacie "System połączeń duch z duchem", który pomógł nam w przypadku jękającej się papugi?

Oczywiście pamiętali. Było to nagłe olśnienie Juve'a - pomysł, dzięki któremu rozwiązali całą zagadkę. Ale dla Hamida brzmiało to niezrozumiale.

- Proszę, powiedzcie, co to jest "System połączeń duch z duchem"?

- Jest to akcja polegająca na tym, że telefonuje się do kilku kolegów prosząc ich o znalezienie odpowiedzi na określone pytanie. Oni z kolei telefonują do innych kolegów z tą samą prośbą, a ci koledzy następnie dzwonią do swoich znajomych i tak dalej. W rezultacie sto albo nawet tysiąc dzieciaków w całym Los Angeles stara się dowiedzieć czegoś, co koniecznie muszą wiedzieć Trzej Detektywi. Ktokolwiek z szukających zdobędzie informacje na dany temat, telefonuje bezpośrednio do nas, do Kwatery Głównej. Uzyskanie tej wiadomości umożliwia nam dalsze działanie. W przypadku jękającej się papugi dzięki temu systemowi wpadliśmy na trop chłopca o imieniu Carlos, którego wuj właśnie sprzedawał tajemnicze papugi.

Hamid słuchał z wielkim zainteresowaniem.

- Tak więc - kontynuował Jupiter - dzisiaj rano zadzwoniłem do pięciu kolegów, których rodzice pracują w śródmieściu Los Angeles. Poprosiłem ich, żeby zatelefonowali do swoich przyjaciół, których rodzice również pracują w tym rejonie. Każdy z nich miał sam albo przez swoich rodziców poszukać znaków zapytania, napisanych - niebieską kredą na drzwiach magazynu, i w przypadku ich odnalezienia - zanotować adres. Żeby ich zachęcić do poszukiwań, powiedziałem, że chodzi tu o ukryty skarb. Pierwszy chłopak, który poda potrzebną informację, dostanie nagrodę. Jaką, będę się później martwić. Teraz zobaczymy, czy mój plan jest realizowany.

Podniósł słuchawkę telefonu i wykręcił numer. Dzięki połączeniu telefonu z głośnikiem radiowym, będącym również częścią ich aparatury nadawczo-odbiorczej, wszyscy mogli słuchać rozmowy. Była krótka.

Chłopiec mówił, że tak, jak go proszono, zadzwonił do przyjaciół, którzy poprosili swoich rodziców, by rozglądali się za niebieskimi znakami zapytania. Jednak dopóki rodzice nie wrócą z pracy, to jest około szóstej, nie będzie wiadomo, czy ktoś z nich natrafił na te znaki.

- Jak widzicie "System połączeń duch z duchem" pracuje - powiedział Jupe odkładając słuchawkę. - Niestety, raczej nie możemy liczyć na wiadomość wcześniej niż przed wieczorem. Nie zostanie nam wiele czasu, ale jak będziemy mieli szczęście, udamy się prosto na miejsce. A teraz chciałbym pojechać na rozmowę z profesorem Yarboroughem.

- Chyba twoja ciocia nie pozwoli na to - przypomniał mu Pete. - Słyszałem, jak kazała ci się zgłosić zaraz po konferencji.

- Och, rzeczywiście - przypomniał sobie Jupe. - Zatelefonuję więc tylko. Tymczasem Bob odprowadzi Hamida i wezwie dla niego taksówkę.

Hamid wstał.

- Chciałbym, żeby Achmed któregoś dnia poznał ciebie, Pierwszy Detektywie Jupiter - powiedział. - Według niego wszyscy amerykańscy chłopcy są głośni, niegrzeczni i dokuczają starszym. Chciałbym mu udowodnić, że amerykańscy chłopcy są bardzo rozsądni.

- Dziękuję ci, Hamid - odparł Jupiter, którego ambicja została mile połączona. - A propos, nie mówiłeś chyba swojemu opiekunowi, co się wczoraj wydarzyło?

- Powiedziałem tylko, że zaangażowałem was do pomocy w odnalezieniu Ra-Orhona i sarkofagu. Trochę kręcił nosem. Stwierdził, że głupotą jest prosić dzieci, żeby wykonywały męską robotę, więc mu już nic więcej nie mówiłem.

- To dobrze. To znaczy dobrze, że nic więcej nie powiedziałeś. Zauważyłem, że kiedy dzieci są zajęte jakąś ważną sprawą, dorośli zazwyczaj nie mogą się powstrzymać przed pomocą i najczęściej tylko wszystko psują. W tym przypadku zachowanie dyskrecji jest niezwykle ważne, gdyż ani profesor Yarborough, ani Dom Hamida nie życzą sobie rozgłosu.

- To prawda - przyznał skwapliwie Hamid. - Kiedy znowu się spotkamy?

- Przyjdź dzisiaj wieczorem, koło szóstej - zaproponował Jupe. - Jak nam dopisze szczęście, to do tego czasu powinniśmy już wiedzieć, gdzie znajduje się magazyn z ukrytym sarkofagiem.

- Przyjdę. Przyjadę taksówką. Achmed jest dzisiaj bardzo zajęty, musi zobaczyć się z kilkoma nabywcami dywanów - Hamid skłonił się lekko i zszedł z Bobem do Tunelu Drugiego.

- Fajny gość z tego Hamida - podsumował nowego kolegę Pete. - Obserwowałem cię, Jupe, od początku zebrania i jestem pewien, że masz jakąś koncepcję. Myślisz, że już wiesz,

kto ukradł Ra-Orhona?

- Tylko podejrzewam - odparł Jupe. - Mówiłeś, że kot pani Banfry, Sfinks, opisywany był w kilku dziennikach i tygodnikach i że nawet umieszczono w nich jego zdjęcia.

- Tak jest. Pokazywała mi jeden magazyn ilustrowany z jego zdjęciem.

- Przypuśćmy, że ktoś potrzebuje abisyńskiego kota o oczach w różnych kolorach - kontynuował Jupe. - Dzięki ogłoszeniom łatwo może się dowiedzieć o istnieniu Sfinksa. Jego przyjacielskie usposobienie ułatwia zdobycie go i przefarbowanie mu łap. Idąc dalej... Kto za wszelką cenę chce mieć Ra-Orhona? Komu najłatwiej podrzucić Sfinksa do pokoju Hamida w nocy? Kto wie o kłątwie i kto czyni wszelkie starania, żeby odebrać mumię profesorowi?

Pete chwilę się zastanowił.

- Ogrodnik - odpowiedział - to znaczy Achmed, nadzorca, pracujący u ojca Hamida, w przebraniu ogrodnika oczywiście.

- Właśnie - skinął głową Jupe. - I sarkofag jest mu potrzebny, żeby w nim zwrócić mumię, prawda?

- No pewnie! - wykrzyknął Pete. - Tylko że Hamid przysięga, że Achmed nie może mieć nic wspólnego z kradzieżą, że nawet o niej nie wie.

- I do tego święcie w to wierzy - podjął Jupe. - Ale czy nie zauważyłeś, że dorośli nie zawsze zwracają się ze swoich planów dzieciom? I co z tego, że są na przykład synami ich pracodawców? Achmed może mieć swój własny plan. Może chce zdobyć mumię, a ojcu Hamida powiedzieć, że musi wykupić ją za bardzo wysoką cenę. Ojciec Hamida mu zaufał, więc Achmed wykorzystując jego zaufanie mógłby bardzo łatwo się wzbogacić.

- O rany! - Pete był oszołomiony. - Pewnie, że mógłby tak zrobić! To całkiem prawdopodobne! A do tego wszystkiego mówi po arabsku, mógł naśladować staroarabski. W przebraniu ogrodnika wciąż się kręcił w pobliżu. Mógł być tuż za drzwiami. Gdyby był brzuchomówcą, nie byłoby mu trudno wywołać wrażenie, że mumia szepcze.

- Zgadza się - przytaknął Jupe. - Ale o naszych podejrzeniach nie możemy nawet wspomnieć Hamidowi, dopóki nie będziemy w stanie tego udowodnić. Mógłby powtórzyć Achmedowi, a ten ostrzeżony zatarłby wszelkie ślady. Przed Hamidem musimy więc zachować absolutną dyskrecję.

- Słusznie - z pełnym przekonaniem powiedział Pete. - Co robimy teraz, Jupe? Jeszcze jest dużo czasu do szóstej. Obawiam się, że twoja ciotka znajdzie nam jakieś zajęcie - dodał ponuro.

- Być może, ale teraz zatelefonuję do profesora Yarborougha i zapytam, cóż Wilkinsem. - Jupiter wykręcił numer i po chwili gawędził z egiptologiem.

- Wilkins wrócił ze szpitala - relacjonował profesor. - Był to jedynie szok psychiczny. Wilkins mówił, że spotkało go wczoraj wieczorem coś najbardziej dotąd chyba zatrważającego. Annubis, bóg o ciele człowieka i głowie szakala, wyłonił się nagle zza krzaka i złowieszczo wykrzykiwał do niego ochryłym głosem jakieś słowa w obcym języku. Wilkins zemdlął z przerażenia. Wtedy prawdopodobnie Annubis ukradł Ra-Orhona.

Pete i Jupe wymienili znaczące spojrzenia.

- Przecież wiemy, że mumię ukradli Joe i Harry - nie wytrzymał Pete.

- Panie profesorze - zwrócił się Jupe do Yarborougha - jesteśmy pewni, że ktoś przebrał się za Annubisa i wystraszył Wilkinsa. Wystarczyło sobie nałożyć na głowę gumową maskę o kształcie pyska szakala.

Następnie opowiedział w skrócie, co przydarzyło się Pete'owi zeszłego wieczoru.

- Tak, oczywiście, to wyjaśnia sprawę - powiedział profesor. - Powiedz mi, czy uda ci się odnaleźć sarkofag i czy podejrzewasz, na Boga, co się za tym wszystkim kryje? Czy dopuszczasz myśl o tym, że ten człowiek Achmed jest w to wmieszany?

- Mam pewne przypuszczenia - odparł Jupiter - ale nie mam na nie jeszcze dowodów. Co do sarkofagu, to zapołujemy na niego dzisiaj wieczorem. Jak tylko będziemy coś wiedzieli, zaraz się z panem skontaktujemy.

Odłożył słuchawkę i zamyślił się, patrząc w jakiś nieokreślony punkt. Pete zaczął się niecierpliwić.

- No i? - spytał. - O czym teraz myślisz?

- Myślałem właśnie - powiedział wolno Jupe - że wczoraj profesor Yarborough wspominał o rzeczy może całkiem istotnej. Mianowicie, że Wilkins był kiedyś aktorem wodewilowym.

- No i co z tego?

- Aktorowi nie sprawi najmniejszego kłopotu udawanie, że jest w głębokim omdleniu. A poza tym, Wilkins mógł występować w wodewilach jako brzuchomówca...

- Myślisz?

- Nie wiem, ale możemy przyjąć takie założenie. Co by to wtedy sugerowało?

- Do diabła! - wykrzyknął Pete podekscytowany. - Więc jednak Wilkins może być też w to zamieszany. Może współpracuje z Achmedem? A może z kimś zupełnie innym? Jak myślisz, Jupe?

- Czas pokaże - odpowiedział Jupe wymijająco i jakby na złość Pete'owi przez całe popołudnie nie odezwał się już ani jednym słowem na temat swoich domysłów.

ROZDZIAŁ 14

Zbyt wiele znaków zapytania

Tego dnia, wczesnym wieczorem uzyskawszy specjalne pozwolenie pani Jones, mała ciężarówka ze składu jechała ulicami centrum Los Angeles. Za kierownicą siedział Konrad. Jupiter zdecydował, że najlepiej będzie po odnalezieniu magazynu, ukryć się w pobliżu i czekać, aż Joe i Harry wyniosą sarkofag. Następnie trzeba jechać za nimi, żeby ich przyłapać w momencie przekazywania skrzyni klientowi, który stał się, jak gdyby kluczem do całej tajemnicy. Tylko w ten sposób, według Jupitera, mogą uzyskać pożądaną dowód. Do takiej akcji zdobiony złoceniami rolls-royce nie nadawał się. Za bardzo się wyróżnia. Zauważono by go natychmiast. Natomiast na starą ciężarówkę bez wątpienia nikt nie będzie zwracał uwagi.

Hamid wcześniej przyjechał do składu taksówką. Teraz razem z Juve'em siedział obok Konrada. Pete i Bob usadowili się na brezencie w tyle ciężarówki, która toczyła się przez zaniedbane i obskurne ulice pełne magazynów i małych sklepików. Przez całą drogę Bob i Pete dyskutowali zacięcie o tym, kto się okaże winowajcą, Achmed czy Wilkins, i przynajmniej po dwa razy każdy z nich zmieniał zdanie.

Ciężarówka zatrzymała się. Pete i Bob wyrzeli znad obudowy tylnej platformy. Znajdowali się przed starym, chyba zamkniętym teatrem. Zauważyli połamaną tablicę z nazwą teatru: "Chamelot". Poniżej widniał napis: "Zamknięte. Wejście do budynku zabronione".

Zobaczywszy, że Jupiter z Hamidem wysiadają, Pete zeskoczył z platformy, a za nim zszedł Bob, nieco wolniej ze względu na swoją nogę.

- Czy ten budynek podobny jest do tego, w którym byłeś wczoraj, Pete? - zapytał Jupiter patrząc ponuro na zrujnowany teatr.

- Nie widziałem tego domu od frontu, ale zdaje mi się, że nie był taki wysoki - odparł Pete.

- To raczej nie ten - dodał Hamid.

- Niemniej jednak jest to adres podany przez jednego z naszych informatorów. - Jupiter wpatrywał się w kartkę, którą trzymał w ręce.

Godzinę wcześniej jeden "duch", czyli jedno dziecko biorące udział w "Systemie połączeń duch z duchem", zadzwoniło z wiadomością, że jego tato widział niebieskie znaki zapytania z tyłu domu mieszczącego się przy ulicy Chamelot 10853. Szybko wsiedli do

ciężarówki i przyjechali pod wskazany adres.

- Zobaczmy od tyłu - zaproponował Jupe i poszedł ścieżką wokół budynku. Wyszli na otwartą przestrzeń na tyłach domów i zobaczyli olbrzymie drzwi do magazynu z kilkoma znakami zapytania w rogu, napisanymi niebieską kredą.

- Twoje znaki, Drugi - wskazał Jupe. - To musi być dobry adres.

- Mnie się wydaje zły - pokręcił powątpiewająco głową Pete. - Co o tym sądzisz, Hamidzie?

- Nie sądzę, żeby to było tutaj - odparł chłopiec - ale było ciemno, może nie widzieliśmy dobrze...

- Chyba też bardzo się spieszyliście - dodał Jupiter. - Patrzcie, tu są jakieś drzwi, obok tych wielkich. Są uchylone. Zajrzyjmy, może uda się zobaczyć, czy sarkofag jest w środku.

Podeszli do drzwi. Otworzyli je na oścież i w tym momencie zobaczyli w nich trzy roześmiane twarze.

- Patrzcie na Jupitera Mc Scherlocka i na jego popychadła! - Był to Chudy Norris, śmiał się głośno.

- Polujesz na poszlaki, Scherlock? - zadrwił jeden z jego kumpli.

- Szukasz znaków zapytania? - spytał ze śmiechem trzeci, gruby, rudowłosy chłopiec.

- Tylko dobrze się rozejrzyj. Pełno ich w mieście.

- Myślę, że nie mamy co tutaj dłużej sterczeć - powiedział Chudy Norris. - Scherlock i jego kumple przejęli sprawę w swoje ręce.

Parskając drwiąco przeszli obok czterech chłopców i skierowali się w dół alejki, do sportowego samochodu Chudego Norrisa. Wsiedli i szybko odjechali.

Bob pierwszy zorientował się, na czym polegał złośliwy kawał Chudego.

- Patrzcie! - wskazał na rząd bram wzdłuż alei. Na wszystkich narysowane były kredą fałszywe znaki zapytania. - Prawdopodobnie wszystkie aleje w okolicy tak załatwili.

Jupiter poczerwieniał ze złości.

- Chudy Norris! - wykrzyknął ze złością. - Pewnie któryś z naszych "duchów" zadzwonił do niego i tak Norris dowiedział się, że szukamy niebieskich znaków zapytania. Przyjechali tu z kolegami i porysowali wkoło pełno pytajników, żeby nas zmylić. Jeden z nich musiał do mnie zadzwonić, podał adres, a oni przyjechali tu, żeby się z nas ponabijać.

- Ale nam narobili... - Pete'a złość aż dławiła - Pękają teraz ze śmiechu. Znaki są pewnie w całej dzielnicy. Taki numer, to tylko Chudy zdolny jest wywinąć. Niech no ja go tylko dorwę, zmiażdżę go jak pluskwę!

Wyglądało na to, że złośliwy kawał Norrisa zaprzepścił ich szansę znalezienia

właściwej bramy. Wokół było zbyt wiele znaków zapytania.

- No to co robimy? - zapytał bezradnie Bob. - Wracamy do składu?

- Na pewno nie! - krzyknął Jupe ze złością. - Przede wszystkim musimy sprawdzić, ile znaków zapytania popisała dookoła banda Chudego. Potem zdecydujemy co dalej. A na przyszłość musimy pamiętać, że nasz "System połączeń", jak wiele świetnych pomysłów, też ma swoje słabe strony.

Rozdzielili się, przeszukując pobliskie ulice i aleje na zapleczach. Wcześniej krótko wyjaśnili Hamidowi, że Chudy Norris jest ich rywalem i jak dotąd zawsze gotów jest stanąć na głowie, żeby tylko pokrzyżować im plany i przeszkodzić w dochodzeniu.

Poznajdowali znaki na domach kilku sąsiednich bloków. Bardzo zmartwieni spotkali się przy ciężarówce, by przedyskutować dalsze postępowanie. Wreszcie zdeterminowany Jupiter powiedział:

- Objedziemy całą dzielnicę. Może Pete i Hamid rozpoznają coś z ubiegłego wieczoru. Nie możemy dać za wygraną. To nasza ostatnia szansa. Jeżeli Harry i Joe dostarczą sarkofag nie zauważeni, przegraliśmy.

Z ciężkimi sercami wgramolili się na ciężarówkę i Konrad ruszył wolno ulicą Chamelot.

- Ponieśliśmy klęskę - powiedział Pete ponuro. - Nazwijmy rzecz po imieniu.

- Dać satysfakcję Chudemu? - Jupiter zaciął usta. - Nie możemy się poddawać, nie ma mowy. Zobacz ten stary kościół na rogu, może widziałeś go wczoraj, jak biegliscie?

Pete popatrzył na stary kościół w stylu hiszpańskim i pokręcił głową.

- Wydaje mi się, że nie byliśmy w ogóle na tej ulicy - powiedział. - Ulice były węższe i bardziej odrapane. I ciemniejsze.

- Pojedziemy więc na inną. Konrad, proszę, skręć w prawo.

- Robi się - odpowiedział Bawarczyk i skręcił w najbliższą ulicę.

Mijali третią przecnicę, kiedy Pete złapał Jupe'a za ramię.

- Ta budka z lodami! - zawołał. - Myślę, że minęliśmy ją, jak tylko zaczęliśmy biec.

Wskazał na coś, co wyglądało jak olbrzymi wafel na lody. Było to zamknięte i jednocześnie całe jakby się rozlatywało. To nie była dzielnica, w której lodziarnia mogłaby mieć powodzenie.

- Konrad, zatrzymaj się, proszę.

Ciężarówka stanęła. Pete, Jupe, Bob i Hamid wysiedli i zaczęli przyglądać się budzie w kształcie wafla, naprzeciwno.

- Hamidzie, czy przypominasz sobie ten kształt? - zapytał Pete.

- O tak - chłopiec odpowiedział bez namysłu. - Nawet zdążyłem pomyśleć, że to jakaś mała świątynia. To takie dziwne między innymi budynkami.

Bob uśmiechnął się.

- Tutaj w Kalifornii mamy budki z sokiem pomarańczowym w kształcie pomarańczy, a z hot-dogami w kształcie hot-doga. Kiosk w kształcie wafla na lody to coś zupełnie normalnego.

- Hot-dogi? - Hamid był przerażony. - Wy jecie psy w Ameryce? Ale nie było czasu na wyjaśnienia, co to są amerykańskie hot-dogi. Po paru pytaniach Jupe zorientował się, że ani Pete, ani Hamid nie są w stanie odtworzyć sytuacji z poprzedniego dnia i powiedzieć, którędy biegli mijając budkę z lodami. Podjął szybko kolejną decyzję.

- Bob, zostań tu z Hamidem. Nastaw walkie-talkie na odbiór. Pete, przejdź się tą ulicą i zaglądaj we wszystkie tylne alejki. Może trafisz na właściwą. Ja zrobię to samo. Szukając znaków, pójdę w drugą stronę. W końcu Chudy ze swoją bandą nie mogli zabazgrać całego Los Angeles.

- Możemy spróbować - zgodził się Pete.

- Konrad tu zaparkuje. Ciężarówka będzie naszą bazą w tej operacji, tu się spotkamy. Szukając, utrzymujemy kontakt radiowy, pamiętajcie.

Zapałał już zmierzch. Pete i Jupe ruszyli czym prędzej w przeciwną stronę, by zdążyć przeszukać teren, nim zrobi się zupełnie ciemno. Bob i Hamid zostali w ciężarówce.

- Jeśli nie znajdą tego magazynu z sarkofagiem - odezwał się Hamid - to mumia Ra-Orhona jest stracona na zawsze. Będzie nam wstyd z Achmedem wrócić do ojca bez naszego szacownego przodka.

Bob zorientował się, że wbrew wszystkiemu, co powiedział Jupe, Hamid wciąż trwa w wierze, że Ra-Orhon jest jego antenatem.

- Gdzie jest teraz Achmed? - zapytał.

- Nie wiem - odparł Hamid. - Mówił, że ma do załatwienia pewne sprawy dla mojego ojca. Przebywając w Ameryce chce spotkać się z kupcami dywanów i zaoferować im wyroby Domu Hamida.

Bob pomyślał, że Achmed planował raczej spotkanie z dwoma złodziejami, Harrym i Joem i przejęcie sarkofagu, ale nic nie powiedział Hamidowi, który i tak był w dość ponurym nastroju.

W tym czasie Pete i Jupiter sprawdzali domy między dwiema ulicami. Informowali się przez walkie-talkie o braku, jak dotąd, powodzenia. Pogłębiająca się ciemność wieczoru przeszkadzała im coraz bardziej w poszukiwaniach. Z dużym oporem przyszło Jupiterowi

wydanie komendy:

- Sprawdź jeszcze jedną aleję, Drugi, i spotykamy się przy ciężarówce. Przedyskutujemy dalszą strategię.

- Usłyszałem i zrozumiałem - dobiegł głos Pete'a. - Wyłączam się.

Jupiter poszedł w następną aleję, podobną do pozostałych. Po jej obu stronach znajdowały się zaplecza sklepów, do których dostarczano ciężarówkami towary. Na samym końcu zobaczył wyższy budynek i skierował się w jego stronę. Z tyłu budynku były duże drzwi, ale stała przed nimi poobijana, niebieska ciężarówka i akurat wtedy, kiedy Jupe się zbliżył, jakiś mężczyzna podniósł drzwi magazynu. Tak, że gdyby nawet były na nich znaki zapytania, w co Jupiter już nie wierzył, to nie mógłby ich zobaczyć.

Jupe zatrzymał się, westchnął i chciał zawrócić tą samą drogą. Nagle stanął znowu. Jego wyostrzony słuch wychwycił słowa:

- Dobra, Harry. Wjedź do środka.

- Okay, Joe, stań z boku - odparł drugi głos.

Harry! Joe! To imiona tych, którzy ukradli sarkofag.

ROZDZIAŁ 15

Jupiter zostaje sam

Jupiter błyskawicznie obrócił się na pięcie i pobiegł w kierunku ciężarówki wtaczającej się właśnie przez bramę do ciemnego magazynu. Żeby go nie zauważyli, doskoczył do prawej strony ciężarówki. Z przeciwnej stał Joe, który przedtem podniósł bramę. Pod osłoną samochodu, przeciskając się przez niewielką szparę pomiędzy ciężarówką a framugą drzwi, Jupe dostał się do środka.

Ciężarówka zatrzymała się. Przykucnął za nią.

- Zamknę bramę - dobiegł głos Joego - a ty włącz przednie światła w samochodzie, bo nic nie widać.

Jupiter szybko myślał. Teraz był bezpieczny, ale kiedy zapala światło... Było tylko jedno miejsce, w którym miał nadzieję zostać nie zauważony.

Opuścił się na kolana, wyciągnął płasko na brzuchu i wczołgał pod ciężarówkę. Hałas opuszczanych drzwi na szczęście zagłuszył szmery, jakie spowodował wciskając się pod samochód. Moment potem zabłyśły reflektory ciężarówki, oświetlając wnętrze magazynu. Spod ciężarówki Jupiter miał ograniczone pole widzenia, ale zobaczył koła staroświeckiego samochodu i to coś, co przykryte brezentem było prawdopodobnie sarkofagiem Ra-Orhona.

Miejsce ukrycia nie było złe, ale Jupiter nie mógł wzywać pomocy. Gdyby chciał być słyszany, musiałby bardzo głośno mówić do walkie-talkie. A więc - zdradziłby się. Czekał z bijącym sercem na dalszy rozwój sytuacji.

Teraz wysiadł kierowca, Harry. Jupe widział nogi stojących obok ciężarówki mężczyzn w odległości dwóch metrów od siebie.

- Klient dał się przekonać, co? - zachichotał Harry. - Wiedziałem. Piekielnie zależało mu na tej trumnie. Nie mam pojęcia, po co mu to.

- Zgodził się szybko - powiedział jego kompan - ale bierzmy się za to. Musimy zawieźć to pudło aż za Hollywood. Jakiś pusty garaż. Powiedział, że możemy od razu wjechać do środka.

- W porządku.

- Ale to nie wszystko. On się boi, że możemy być śledzeni. Mamy być bardzo ostrożni, gdyby ktoś jechał za nami, to w ogóle mamy tego nie dostarczać.

- Kto miałby za nami jechać? - zapytał ostro drugi mężczyzna. - Nikt nie wie o naszej melinie. Załatwimy tę dostawę. Chcę pieniędzy, które jest nam winien.

- Dobra, dobra, ale nie skończyłem jeszcze. W połowie drogi, gdy będziemy pewni, że nikt nas nie śledzi, mamy się zatrzymać i zadzwonić do niego. Może może dostarczyć to jeszcze pod pierwotny adres. To zależy.

- Od czego?

- Nie mówił, ale nie słyszałeś jeszcze tego, co jest najbardziej wariackie w tym wszystkim.

- Gadaj, słucham.

- Jak mu to przywieziemy, włoży mumię z powrotem do trumny. A potem mamy to wszystko razem zabrać i spalić gdzieś tak, żeby nawet ślad nie pozostał. Zapłaci nam za to tysiąc ekstra.

- Tysiąc ekstra? Po co kazał nam to kraść, skoro chodzi mu tylko o spalenie?

- Zabij mnie, nie wiem. Może się wystraszył i chce się pozbyć dowodów? Dostajemy forszę, możemy udawać głupich. Róbmy, jak chce. A teraz ładujemy skrzynię i jedziemy w stronę Hollywoodu.

Dwie pary nóg oddaliły się i w świetle reflektorów Jupe zobaczył, jak dwaj mężczyźni zbliżają się do sarkofagu i pochylają się nad nim.

- Czekaj, sprawdźmy jeszcze, czy nie ma czegoś w środku - powiedział mniejszy mężczyzna, Joe. - Może jest coś wartościowego, na czym mu zależy.

Podnieśli wieko. Joe ręką przeszukał wnętrze.

- Nie - powiedział. - Nie ma nic. Chodź, załadujemy to na ciężarówkę.

Przepchnęli sarkofag w kierunku tyłu ciężarówki i wtedy stwierdzili, że stoi ona za blisko drzwi, i nie uda się włożyć skrzyni do środka.

- Trzeba podjechać trochę do przodu - powiedział Joe.

- Zrób to, pójdę napić się wody.

Joe usiadł za kierownicą. Motor zaryczał i ciężarówka podjechała do przodu kilkadziesiąt centymetrów. Jednocześnie Jupe pozostał poza kryjówką. W tej samej chwili Harry zniknął za małymi drzwiami.

Pierwszy Detektyw przez chwilę był niezdecydowany, co robić. Jeśli wezwie Pete'a przez walkie-talkie - usłyszą go. Jeśli schowa się za beczkami, które zdążył dojrzeć wcześniej - ciężarówka odjedzie i nie będzie mógł jej śledzić. Wreszcie, jeśli wślizgnie się do ciężarówki - mężczyźni zobaczą go podczas ładowania sarkofagu.

Przez jeden, pełen szalonego napięcia moment nie widział sposobu ukrycia się i jednocześnie pozostania na tropie ciężarówki do czasu, w którym mógłby skontaktować się z kolegami i polecić im śledzenie ciężarówki.

W sekundę potem, w nagłym olśnieniu, uzmysłowił sobie, że jest jednak wyjście z tej, wydawałoby się już, beznadziejnej sytuacji.

Harry nadal był w ubikacji, a Joe za kierownicą. Jupe niepostrzeżenie podszedł szybko na czworakach do stojącego na podłodze sarkofagu, uniósł trochę wieko i jak gruby węgorz wśliznął się do środka. Serce podeszło mu aż do gardła. Opuścił wieko, podkładając pod nie ołówek, dla dostępu powietrza, i czekał.

Pete, Hamid i Bob stali na chodniku obok ciężarówki ze składu Jonesa. Byli mocno zaniepokojeni. Minęło już sporo czasu od ostatniego polecenia Jupitera, a tylko cisza odpowiadała na ich próby złapania z nim kontaktu. Czyżby wpadł w jakieś tarapaty?

Nagle coś zatrzeszczało w odbiorniku Pete'a i chłopcy usłyszeli słowa:

- Pierwszy Detektyw wzywa Drugiego Detektywa. Czy mnie słyszysz, Drugi?

- Mówi Drugi Detektyw. Potwierdzam. Potwierdzam odbiór. Słyszę cię, Pierwszy, co się stało?

- Ciężarówka, której szukaliśmy, jedzie w kierunku Hollywoodu - słychać było głos Jupa. - Jest to dwutonowa ciężarówka, niebieska z odpadającą farbą. Numer rejestracyjny PX-1043. Teraz jedzie ulicą Pointer w kierunku zachodnim. Czy zrozumieliście?

- Potwierdzam! - wrzasnął zdenerwowany Pete. Wiadomość od Jupe'a oznaczała, że ciężarówka jechała ulicą, na której się właśnie znajdowali, oddalając się od nich. Musiała być wciąż jeszcze blisko, bo odbiór głosu Jupe'a był bardzo dobry.

- Natychmiast zawracamy i jedziemy za nią - nadawał Pete. - A ty gdzie jesteś?

- Tam, gdzie ty byłeś wczorajszego wieczoru - odpowiedział Jupe.

- W sarkofagu?!

- Zapięty pasami, niestety - dodał Jupiter. - To była jedyna możliwość dalszego działania. Proszę, nie traćcie z oczu ciężarówki. Mogę potrzebować pomocy, gdy dotrzemy do człowieka czekającego na sarkofag.

- Będziemy jechać tuż za tobą - powiedział Pete i rozpoczęli akcję. Usadowili się w ciężarówce, a Pete wyjaśnił Konradowi, jak ma jechać. Ten zawrócił, nacisnął na gaz i mknął szybko ulicą Pointer. Wkrótce znaleźli się za obdrapaną, niebieską ciężarówką z numerem rejestracyjnym podanym przez Jupe'a. Konrad zwolnił i zaczął utrzymywać mniej więcej równą odległość między samochodami.

- Jesteśmy teraz w pewnej odległości za tobą, Pierwszy - poinformował przez walkietalkie Pete. - Czy orientujesz się, dokąd jadą?

- Nie. Klient podał adres Joemu przez telefon.

- To jak na filmie! - zawołał podekscytowany Hamid. - Jeszcze bardziej

emocjonujące. Tylko martwię się, co by się stało z Pierwszym Detektywem Jupiterem, gdybyśmy zgubili tę ciężarówkę. Jak trafilibyśmy na miejsce, żeby mu pomóc w czasie otwierania sarkofagu?

- My też nie wiemy, Hamid - wymamrotał cicho Bob.

Tego obawiał się i sam Jupiter. Wyciągnięty wewnątrz sarkofagu, z nosem przytkniętym do szpary, zapewniającej dopływ powietrza, zastanawiał się, czy postąpił słusznie. Ale ukrycie się w dowodzie rzeczowym było jedyną możliwością podążania tym tropem.

Na razie wszystko przebiegało gładko. Przejechali już wiele kilometrów i Konrad z chłopcami wciąż był za niebieską ciężarówką. Najwyraźniej Harry i Joe niczego nie podejrzewają. Jupiter właśnie zaczął się odprężyć i gratulować sobie wyboru jedynie słusznego rozwiązania, gdy ciężarówka nagle przyspieszyła. Trzęsła się i podskakiwała, jakby przecinała jakieś wielkie torowisko kolejowe. Zza pędzącej ciężarówki dobiegł dźwięk opadającego szlabanu i syreny lokomotywy.

Jupe usłyszał z odbiornika oszalały głos Pete'a.

- Pierwszy! Jesteśmy odcięci pociągiem towarowym. Wygląda, jakby miał dwa kilometry długości! Nim przejedzie, zgubimy cię! Czy mnie słyszysz?

- Słyszę! - krzyknął Jupiter.

Przełknął głośno ślinę, zastanawiając się, co powiedzieć, gdy ciężarówka skręciła ostro i ruszyła w innym kierunku.

- Drugi! - wołał głośno Jupiter. - Ciężarówka skręciła w jakąś ulicę, nie wiem, gdzie jestem. Ale mam propozycję. Czy wciąż mnie odbierasz?

- Pierwszy! - Głos Pete'a stał się słaby i daleki. - Nie mogę zrozumieć, co mówisz. Twój głos zanika. Czy możesz...

Głos Pete'a urwał się. Jupe wiedział, że są już poza - zbyt małym jak się okazało - zasięgiem walki-talkie. Nie było żadnej szansy, by Konrad zdołał odnaleźć niebieską ciężarówkę. Był zdany tylko na siebie.

ROZDZIAŁ 16

Jeniec i zdobywca

Jupiter jeszcze przez kilka minut nie wyłączał odbiornika, czekając na cud. Niestety, głos Pete'a już się nie odezwał. Stało się jasne, że nim pociąg przejechał, zostawili daleko za sobą ciężarówkę Jonesa. Mógł sobie tylko wyobrazić, jak Konrad szuka ich teraz przejeżdżając szybko przez kolejne ulice. Ale w gęstym mroku i przy mylącym układzie ulic w Los Angeles, była jedna szansa na milion, że ich odnajdzie.

Jupe ponownie usiłował nadać wiadomość o sobie.

- Halo, Drugi Detektywie, wzywa cię Pierwszy. Czy mnie słyszysz? Drugi, słyszysz mnie?

Ale żadnej odpowiedzi od Pete'a nie było. Usłyszał za to nieznanego głos, chyba chłopca w jego wieku.

- Halo, kto mówi? - Co to za historia z tym drugim i pierwszym detektywem? Bawicie się w jakąś grę? Jeśli tak, weźcie mnie do niej.

- Słuchaj - odpowiedział Jupiter - to nie jest żadna zabawa. Czy możesz za mnie zadzwonić na policję?

- Na policję? Po co? - pytał chłopiec.

Jupiter myślał szybko. Rzeczywistość mogła okazać się zbyt skomplikowana, żeby w nią tak łatwo uwierzyć.

- Jestem zamknięty w ciężarówce. Ludzie, którzy nią jadą, o tym nie wiedzą. Muszę się stąd wydostać. Zadzwoń na policję. Powiedz, żeby zatrzymali tę ciężarówkę i wypuścili mnie stąd.

Zdecydował, że nadszedł czas na wezwanie pomocy z zewnątrz. Tylko policja mogła znaleźć ciężarówkę i uwolnić go w porę.

- Dobrze, zrobię to - powiedział chłopiec. - Załapałeś się na przejazdkę, co? I zamknęli cię. Lepiej mów szybko, bo coraz gorzej cię słyszę.

- Mówię szybko! - wołał Jupiter. - Słuchaj, to jest niebieska, dwutonowa ciężarówka z numerem rejestracyjnym PX-1043. Jedzie w kierunku Hollywoodu, powinna przejeżdżać przez Hollywood za jakieś dziesięć minut. Jest stara i poobijana.

Przerwał mu głos chłopca.

- Co się stało? Usłyszałem dwa słowa i twój głos urwał się. Musisz szybko oddalać się ode mnie. Czy wciąż mnie słyszysz?

- Słyszę cię - odpowiedział Jupe. - A ty mnie?

- Halo! Halo! - krzyczał chłopiec. - Nie słyszę cię zupełnie. Musiałeś odjechać poza zasięg nadawania twojego aparatu. Przykro mi.

Zawiedziony Jupiter zastanawiał się, co robić dalej. Wsunął radyjko pod koszulę i starał się wymyślić jakiś plan działania. Z początku nic nie przychodziło mu do głowy. Jedno było pewne, Harry i Joe ciasno opasali sarkofag przed wrzuceniem go do ciężarówki, nie mógł się więc z niego wydostać.

Nie to było jednak najgorsze, bo teraz miał przez szparę wystarczający dopływ powietrza i mógł swobodnie oddychać. To, co najbardziej martwiło Jupe'a, miało nadejść w niedalekiej przyszłości. Serce waliło mu jak młotem, gdy wyobrażał sobie zatrzymującą się ciężarówkę i Harry'ego i Joego wyciągających i otwierających sarkofag. Zobaczą Jupitera Jonesa leżącego jak ostryga w muszli i równie jak ostryga bezbronnego. Jupe aż się spocił na samą myśl o tym. Widział już stojących nad nim - Joego i Harry'ego z klientem - spoglądających na dół, na niego. I siebie - patrzącego na nich, do góry. Oni - trzech kryminaliści i on - świadek, który mógłby posłać ich do więzienia.

Nie dopuszczał myśli o tym, co mogą zrobić niebezpieczni przestępcy z potencjalnym świadkiem. Zamiast tego starał się za wszelką cenę wymyślić jakąś sprytną linię postępowania. Przypuśćmy, że w momencie unoszenia wieka wyskoczy i zacznie uciekać. Może zdąży im umknąć? Raczej w to wątpił. Po co siebie samego oszukiwać? Będzie ich trzech. W którą by stronę nie ruszył, jeden z nich będzie na tyle blisko, żeby go chwycić. Zaczął nawet zastanawiać się, czy jego wuj i ciocia będą go żałować. Pete i Bob być może nigdy nie dowiedzą się, co naprawdę zaszło.

Myśli te wywołały wyraźnie odczuwalny skurcz w gardle. Nagle ciężarówka zatrzymała się. Jupe zamarł w napięciu, myśląc, że jego czas już nadszedł. Ale nic się nie zdarzyło i po pięciu minutach ciężarówka ruszyła znowu. Wtedy przypomniał sobie, co mówił Joe. Mieli zadzwonić do klienta jeszcze przed dostarczeniem sarkofagu. Pewnie to właśnie zrobili. Oczywiście nie mógł mieć pojęcia o rezultacie rozmowy.

Ciężarówka jechała dalej, a Jupe'em znów zawładnęły czarne myśli. Podejmował szereg postanowień, co zrobi następnym razem - jeśli w ogóle będzie następny raz. Nagle stał się bardzo czujny. Ciężarówka zatrzymała się po raz drugi. Usłyszał dźwięk podnoszonej bramy garażowej. Wiedział, że przybyli na miejsce, i szybko zmobilizował się do działania. W jednej chwili jego ponura rezygnacja zapadła się pod ziemię. O nie, nie miał najmniejszego zamiaru leżeć bezradnie, gdy sarkofag zostanie otwarty! Co z tego, że będzie ich trzech? Przewróci najmniejszego i pójdzie na całość. Będzie walczył do końca.

Tylne drzwi ciężarówki otworzyły się. Nasłuchując śledził w wyobraźni ruchy mężczyzn. Ten odgłos oznacza, że Joe i Harry gramolą się do środka. Tak, podnoszą teraz sarkofag, jeden z nich o mało co go nie upuścił.

- Jakaś dziwna ta trumna - powiedział Joe. - Jak pchaliśmy ją w magazynie, nie była taka ciężka. Kiedy podnosiliśmy ją na ciężarówkę była już ciężka jak diabli i teraz też.

W innych okolicznościach słowa te rozśmieszyłyby Jupe'a. Nietrudno było sobie wyobrazić zdziwienie Joego. Jupe wśliznął się przecież do sarkofagu tuż przed tym, jak mężczyźni dźwignęli go, by załadować na ciężarówkę. Dołożył więc swoje dobre ponad pięćdziesiąt kilo wagi. Oczywiście, że taka zmiana ciężaru musiała ich zaskoczyć. Ale teraz Jupe nie był w stanie nawet się uśmiechnąć. Nie teraz.

Naprężył ciało, gdy sarkofag był częściowo znoszony, częściowo spuszcany z ciężarówki na ziemię. Nagle usłyszał nowy głos.

- Wnieście go do garażu, szybko!

Głos dochodził z dala, Jupe nie mógł go rozpoznać. Sarkofag został wreszcie z trzaskiem opuszczony prawdopodobnie na betonową posadzkę.

- W porządku - dał się słyszeć trzeci głos. - Zostawcie mnie z tym na dziesięć minut, potem zabierzecie to razem z mumią i spalicie.

- Ale nim pana zostawimy samego, musimy dostać naszą forszę - powiedział Joe. - Pieniądze albo już to zabieramy.

- Dobrze, dobrze. Mam je w kieszeni. Dwa tysiące dolarów. Zamknijmy drzwi, zapłacę wam na zewnątrz. Połowę teraz i połowę, kiedy weźmiecie to do spalenia.

- Zabiorę jeszcze pasy, żeby potem nie zapomnieć - powiedział Harry. - Będę ich potrzebował.

Sarkofag zakołysał się, gdy pasy były odpinane. Wtem odezwał się Joe:

- Zgłupiałeś? Zostaw to! Będą nam potrzebne. Zaraz będziemy ją znowu brać, pełną.

- Dobra, dobra - odburknął Harry. - Bierzmy tę forszę.

- Wyjdźmy, to wam zapłacę - głos nieznanego klienta brzmiał nerwowo, jakby bardzo zależało mu na odciągnięciu mężczyzn od sarkofagu i na wyprowadzeniu jak najszybciej na zewnątrz.

Jupiter usłyszał opadającą bramę garażową. Zaległa cisza. Ostrożnie podniósł wieko i wyjrzał na zewnątrz. Mimo ciemności zdołał zobaczyć, że jest sam. Szybko odsunął wieko i wyskoczył ze skrzyni. Nałożył wieko z powrotem i zaczął się rozglądać. Oprócz bramy garażowej powinny być drugie drzwi. Znalazł je szybko, dzięki temu, że były przeszkłone i padało przez nie trochę światła. Już do nich podchodził, gdy zaczęły się otwierać. Jupiter

przywarł do ściany, a otwarte skrzydło drzwi zasłoniło go.

Zobaczył mężczyznę, który ku jego przerażeniu zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Nie zauważył jednak wciśniętego w kąt chłopca. Skierował się bezpośrednio do stojącego na podłodze sarkofagu, zacierając ręce z zadowoleniem.

- Mam cię nareszcie - powiedział głośno - po tych wszystkich latach. Czekałem aż dwadzieścia pięć lat, ale warto było. Każda minuta tych lat warta była tego.

Wyjął z kieszeni latarkę elektryczną i skierował strumień światła na wieko. Nie zapalał górnego światła najwyraźniej dlatego, żeby czekający na zewnątrz Joe i Harry nie mogli go podglądać.

Obejrzał sarkofag dokładnie z zewnątrz, po czym zdjął wieko i odstawił na podłogę. Pochylił się i dotykał delikatnie wnętrza, tak jakby starał się coś wymacać.

Jupiter wiedziony instynktem zrobił trzy kroki w stronę mężczyzny i pchnął go bardzo mocno.

Ciemna postać, pochylona znacznie nad skrzynią, wydała zduszony okrzyk i wpadła do skrzyni niemal w całości. Na zewnątrz wystawały tylko nogi. Jupiter szybko wepchnął je do środka, błyskawicznie złapał wieko i zamknął skrzynię. Miał uwięzionego w sarkofagu "klienta" - głównego złodzieja, który zorganizował kradzież mumii i sarkofagu. Ale czy mógł go tam sam utrzymać?

Usiadł szybko na wieku, nim zatrząśnięty mężczyzna zaczął próbować się wydostać. Wieko trzęsło się i podskakiwało pod Jupiterem, ale chłopiec ważył zbyt dużo, by można go było tak łatwo zrzucić, chociaż uwięziony walczył zaciekle. Jupiter trzymał się twardo, pot spływał mu po twarzy, ale gotów był walczyć do końca o utrzymanie wieka na miejscu.

Człowiek wewnątrz nie przestawał walić pięściami w wieko i wykrzykiwać;

- Joe! Harry! Co wy wyprawiacie?!

Do Jupitera słowa te dobiegały przytłumione. Bez podpory, jaką był ołówek, wieko pasowało dokładnie i szczelnie zamykało skrzynię. Joe i Harry nie mogli nic słyszeć.

Jupe zdawał sobie jednak sprawę z tego, że mężczyźni w każdej chwili mogą zacząć się niecierpliwie i chcieć wejść do garażu. Wówczas nakryją go. Co się wtedy stanie?

ROZDZIAŁ 17

Zdumiewające zakończenie

Wszystko, co Jupiter mógł na razie zrobić, to siedzieć na wieku i trzymać swojego więźnia w pułapce. Jeśli Joe i Harry otworzą bramę garażową i zobaczą go...

Wtem usłyszał jakieś głosy na zewnątrz. Wrzaski, krzyki przerażenia i jakby konsternacji. Uporczywe trąbienie samochodu. Coraz więcej krzyków. Odgłosy jakiejś bójki.

Nie miał czasu zastanawiać się, co się dzieje na zewnątrz, bo właśnie jego więzień obrócił się w skrzyni tak, że mógł teraz pchać wieko plecami. I wieko powolutku zaczęło się unosić, wbrew wszystkim rozpaczliwym wysiłkom Jupe'a. Podnosiło się z jednej strony, powodując zsuwanie się chłopca w kierunku posadzki.

W tej samej chwili brama garażowa z hukiem się podniosła i ktoś zawołał:

- Jest tu kto?

A potem czyjaś ręka odszukała kontakt przy drzwiach. Rozbłysło górne, mocne światło. Świadomy takiego obrotu sprawy, mężczyzna wewnątrz sarkofagu zaniechał próby wydostania się.

Jupiter mrugając powiekami spoglądał na grupę ludzi stojących w otwartej bramie. Byli to: Pete, Bob, Hamid wraz z profesorem Yarboroughem i Achmedem. Po sekundzie dołączył do nich Konrad zacierający ręce z zadowoleniem.

- Związałem tych dwóch elegancko powrozem - powiedział.

Kiedy zobaczył spoconego Jupe'a, krzyknął:

- Jupe! Jesteś cały?

- Jak najbardziej - Jupe zrobił wszystko, żeby jego głos brzmiał normalnie. - Jak tu trafiliście?

Jedynie Bob mógł odpowiedzieć. Pozostali byli zbyt zdumieni, żeby w ogóle się odzywać.

- Kiedy zgubiliśmy ciężarówkę z tobą... - zaczął, ale zaraz urwał, gdyż gwałtowne ruchy mężczyzny uwięzionego w sarkofagu o mało co nie zrzuciły Jupe'a na podłogę. - Kto tam jest? - zapytał z wybałuszonymi oczami.

- Tak - profesor także patrzył na Jupe'a i skrzynię wielkimi oczami, co przy okularach nadawało mu wygląd sowy. - Kto, na Boga, jest w sarkofagu?

Jupiter wytarł twarz chusteczką.

- Człowiek, który zaczął to całe zamieszanie sześć miesięcy temu - powiedział. -

Jasnowidz-zebrak, który odwiedził ojca Hamida i przekonał go, że Ra-Orhon jest jego przodkiem. Sardon, który chciał nakłonić ojca Hamida do kradzieży mumii po to, by zrzucić na Dom Hamida wszystkie podejrzenia w momencie, kiedy on sam ją sobie przywłaszczy.

- Sardon?! Sardon jest tutaj?! - wołał Hamid. - Nic z tego nie rozumiem.

- To niemożliwe! - wykrzyknął zaskoczony Achmed. - Sardon został w Libii.

- Zaraz sami zobaczycie - powiedział Jupiter. - Myślę, że go zatrzymamy, gdyby próbował uciekać.

Zsunął się z wieka, które momentalnie podskoczyło do góry i spadło na posadzkę. Czerwony i rozczochrany mężczyzna zerwał się na równe nogi, obrzucając obecnych dzikim spojrzeniem.

- Sardon?! - krzyknął Hamid. - Nie, to nie jest Sardon! Sardon jest ślepy na jedno oko, ma długie białe włosy i chodzi o lasce.

- Przebranie - krótko wyjaśnił Jupe. - Kot Ra-Orhona okazał się tylko kotem pani Banfry w przebraniu. Za ogrodnika przebrał się Achmed. Bóg Annubis to faktycznie złodziej Harry odpowiednio ucharakteryzowany. Również Sardon to ktoś przebrany za żebraka. Oto on.

- Freeman! - profesor Yarborough nie wierzył własnym oczom i wpatrywał się w stojącego w sarkofagu mężczyznę. - Na litość Boską, co to wszystko ma znaczyć? To ty ukradłeś mumię i sarkofag? To znaczy ukradziono je z twojego polecenia?

Profesor Freeman sprawiał wrażenie kompletnie zrezygnowanego. Wiedział, że ucieczka jest bez sensu.

- Tak - odrzekł po prostu. - Czekałem dwadzieścia pięć lat na to, by dostać w swoje ręce mumię i sarkofag. Czekałem niemalże od momentu, w którym została odkryta. Teraz, przez paczkę wścibskich chłopaków straciłem milion dolarów, a może nawet dwa.

- Tak! - wykrzyknął Achmed, który podszedł do profesora Freemana, żeby lepiej mu się przyjrzeć. - To Sardon. To ta sama twarz, tylko bez brązowej farby. Ten sam głos. To jest ten oszust, który przyszedł do domu mojego pana i zadrwił z niego opowiadając mu bajkę o mumii Ra-Orhona, niby jego przodka. To jest człowiek, który namówił mego pana, by wysłał mnie po Ra-Orhona i sprowadził go, zapewniając tym samym spokój jego duszy. Kłamca! - i splunął Freemanowi w twarz.

Językoznawca otarł twarz znużonym gestem.

- Myślę, że zasłużyłem na to - powiedział. - Wszystko wam wyjaśnię. Na pewno interesuje was, dlaczego tak bardzo chciałem zdobyć Ra-Orhona?

- No właśnie! - zawołał profesor Yarborough. - Mogłeś przecież przyjść do mnie i

pracować nad nim, ile byś tylko chciał.

- W rzeczywistości nie chodziło mi o samego Ra-Orhona - Freeman wyszedł z sarkofagu. - Zależało mi na skrzyni, w której spoczywał. Widzisz, Robercie, mój ojciec był z tobą, kiedy odkryłeś Ra-Orhona.

- Oczywiście. To był bardzo dobry człowiek. Jego śmierć była dla mnie ogromnym ciosem.

- No więc - ciągnął profesor Freeman - mój ojciec dokonał odkrycia, o którym ty nie wiedziałeś. Studiując dokładnie w samotności sarkofag, znalazł w nim wnękę zakrytą drewnianym czopem. W tej wnęce... Chodź, pokażę ci.

Zdjął ze ściany małą piłę, przewrócił sarkofag na bok i już zabierał się do odpiłowywania jednego z rogów, gdy profesor Yarborough złapał go za rękę.

- Nie! Powiedziałeś przecież, że to bezcenny zabytek.

- Nie tak cenny jak to, co zawiera w sobie. - Profesor Freeman zdobył się na słaby uśmiech. - Zresztą, jest ci potrzebny kawałek do testu. Mówiąc szczerze, nie potrzebowałbym kraść tej skrzyni, gdyby mój ojciec nie zakleił tej wnęki tak dokładnie, że potrzeba piły, żeby się do niej dostać. Gdyby tego nie uczynił, mógłbym ją otworzyć któregoś dnia u ciebie, podczas towarzyskiej wizyty. Ale mój ojciec chciał być pewien, że nikt nie odkryje tego sekretu do dnia, w którym on miałby sarkofag tylko dla siebie. Widzisz - profesor Freeman odpiłował spory kawałek drewna w jednym z narożników - ojciec napisał mi o wszystkim w liście, na wypadek gdyby coś mu się wydarzyło, nim dostanie sarkofag w swoje ręce. Ten list dotarł do mnie już po jego śmierci. Studiowałem w tym czasie języki. Natychmiast przeniosłem się na wydział języków Środkowego Wschodu i wyspecjalizowałem się w nich, by pewnego dnia udać się do Egiptu i odebrać mumię z muzeum. Nie zdążyłem tego zrobić. Uprzedziłeś mnie sześć miesięcy temu mówiąc mi, że muzeum wysyła ci mumię. Pojechałem do Egiptu, zorientowałem się, że nie uda mi się przechwycić sarkofagu, i w związku z tym wymyśliłem plan przekonania bogatego Libijczyka, że Ra-Orhon jest jego antenatem. Ucharakteryzowałem się na jasnovidza Sardona i odwiedziłem bogatego kupca dywanów. Dzięki mojej specjalizacji nie miałem żadnych trudności w mówieniu obcymi językami podczas rzekomego transu. Udało mi się całkowicie przekonać Hamida z Domu Hamida, by wysłał swojego zarządcę i syna do Ameryki dla odzyskania mumii, nawet jej kradzieży - gdyby nie było innej możliwości. O to właśnie mi chodziło.

Oczywiście wiedziałem, że gdy nie będę mógł zdobyć mumii z sarkofagiem w jakiś sprytny sposób, to zdecyduję się po prostu na kradzież. Wszystkie podejrzenia chciałem skierować na Dom Hamida. Przypuszczałem, że nim przyjedzie wysłannik Hamida, upłynie

trochę czasu, i wiedziałem, że każdy wysłannik zacznie od wybrania się do ciebie, by prosić cię o wydanie mumii, a ty mu oczywiście odmówisz. Wówczas, gdybym ukradł mumię, jedynym podejrzanym byłby Dom Hamida. Miałem nadzieję, że obejdzie się bez kradzieży. Sądziłem, że szept mumii tak cię przestraszy, że będziesz chciał się jej pozbyć z domu i powierzysz ją mnie. Mógłbym wtedy spokojnie opróżnić sarkofag i zwrócić ci twojego cennego Ra-Orhona wyleczonego z przykrego zwyczaju szeptania.

Ale ty byłeś uparty. Poza tym powiedziałeś, że zamierzasz odpiłować kawałek skrzyni i wysłać do specjalnego badania. Obawiałem się więc, że możesz odkryć to, co jest w środku. Musiałem działać szybko, żeby zdążyć przed tobą. Nająłem więc zawodowych złodziei. Potem... No! Proszę. Gotowe.

Odpiłowany narożnik odpadł. Oczom wszystkich ukazała się ciemna wnęka w dnie sarkofagu.

- Przecież podejrzewałem, że sarkofag wydaje pusty dźwięk, jakby dno było podwójne - szepnął profesor Yarborough, podczas gdy Freeman usiłował wyciągnąć jakieś pergaminy wypełniające wnękę.

- Wiem - powiedział. - Jak widzisz, musiałem się spieszyć. Byłbyś w końcu zbyt zaciekawiony i pewnie zacząłbyś bardzo dokładnie badać sarkofag. Zobaczmy teraz, co mój ojciec odkrył dwadzieścia pięć lat temu w grobowcu w Egipcie.

Wyciągnął dość okazałych rozmiarów pakunek. Ostrożnie postawił go na podłodze i zaczął rozwijać. Gdy odwinął ostatnią warstwę, patrzącym zaparło dech w piersiach. Zdawało się, że w tym miejscu, na podłodze garażu płonie błękitno-zielono-żółto-czerwony ogień.

- Klejnoty... - profesor Yarborough z trudem łapał oddech. - Antyczne klejnoty z czasów faraonów. Są warte fortunę - jako biżuteria, i wielokrotnie więcej - jako antyki.

- Teraz rozumiesz, dlaczego tak bardzo zależało mi na sarkofagu i dlaczego zadałem sobie tyle trudu, żeby go zdobyć. - Profesor Freeman ciężko westchnął. - Mój ojciec nie śmiał zabrać tego wszystkiego ze sobą. Wziął dwie czy trzy sztuki, resztę zostawiając na później. Zawsze podejrzewałem, że został zamordowany z powodu tych klejnotów, pewnie usiłował je sprzedać.

- Zaczyna mi się krystalizować w głowie pewna teoria związana z Ra-Orhonem - odezwał się profesor Yarborough. - A propos, gdzie on jest?

- Tam - profesor Freeman wskazał tył garażu. - Jest bezpieczny pod plandeką.

- Dzięki Bogu - odetchnął starszy profesor. - Moja teoria... - przerwał nagle. - Ale mamy na to czas. Ty, John, musisz nam wiele spraw wyjaśnić. Przede wszystkim, jak zaaranżowałaś szept mumii?

Profesorowi Freemanowi opadły ramiona. Wyglądał na człowieka, którego życie nagle utraciło sens.

- Weźmy klejnoty do domu - powiedział. - Tam wam wszystko opowiem.

ROZDZIAŁ 18

Pytania pana Hitchcocka

Znany reżyser Alfred Hitchcock siedział w swoim gabinecie i odkładał ostatnią kartkę notatek zawierających opis rozwiązania tajemnicy szepczącej mumii. Spojrzał na siedzących naprzeciwko chłopców: Jupitera, Boba i Pete'a, wyczekujących na jego opinię.

- Dobra robota, chłopcy - odezwał się wreszcie. - Muszę przyznać, że przeżywaliście chwile wielkiego napięcia, nim sprawa się wyjaśniła.

Chwile napięcia? Pete'a aż ścisnęło w gardle na wspomnienie podróży w sarkofagu. Natomiast na okrągłej twarzy Jupitera malowało się zadowolenie.

- Tak, proszę pana - powiedział. - Czy przedstawi pan nasz przypadek?

- Oczywiście - odparł reżyser - ale najpierw muszę wyjaśnić kilka szczegółów.

- Czy coś pominąłem? - zaniepokoił się Bob. Był odpowiedzialny za przedstawienie całej historii na piśmie.

- Tylko parę rzeczy - odparł pan Hitchcock. - Doprawdy nic wielkiego. Szczerze mówiąc wyjaśnienia zwalniają akcję i sprawiają, że czytanie staje się mniej interesujące, ale ja chciałbym wiedzieć. Po prostu chcę zaspokoić swoją ciekawość.

- Proszę pytać - odezwał się Bob.

- Dobrze - pan Hitchcock zamyślił się pykając fajkę. - Tło sprawy jest oczywiste. Dwadzieścia pięć lat temu profesor Yarborough odnalazł Ra-Orhona. W tym samym czasie Aleph Freeman, ojciec profesora Freemana, odkrył, że w sarkofagu ukryta jest prawdziwa fortuna w postaci klejnotów, i postanowił je sobie przywłaszczyć. Został zabity, nim zdołał zrealizować swój plan. Zdążył jednak przekazać informację swojemu synowi. Dla syna zdobycie klejnotów stało się naczelnym celem w życiu.

- Tak jest - wtrącił Bob. - Profesor Yarborough ma swoją teorię na temat tego, dlaczego Ra-Orhon został pochowany tak zwyczajnie, w zamaskowanym grobowcu i jedynie ze swoim kotem. W tym czasie grasowało wielu złodziei włamujących się do królewskich grobowców, dla zagarnięcia cennych przedmiotów, chowanych wraz ze zmarłymi. Rodzina Ra-Orhona liczyła na to, że złodzieje zaniechają poszukiwań przy tak skromnym sarkofagu i w ten sposób kolekcja Ra-Orhona wraz z nim pozostanie nietknięta.

- Zupełnie słuszna teoria, ale wróćmy do profesora Freemana. Przebrał się za jasnowidza Sardona i zmyślił historię, żeby wciągnąć w sprawę Dom Hamida. Chodziło mu o wykorzystanie go później dla zatarcia własnych śladów. Zobaczył zdjęcie kota pani Banfry i

widząc duże podobieństwo z pradawnym kotem Ra-Orhona, włączył go do swojej historyjki, by uczynić ją bardziej wiarygodną. Później ukradł kota pani Banfry, przefarbował mu łapy i wpuścił do domu, w którym mieszkał Hamid.

- Dokładnie tak - skinął głową Jupiter. - Profesor Freeman przyznał się do tego.

- Tak więc - kontynuował pan Hitchcock - Achmed z Hamidem usiłujący zdobyć sarkofag z mumią, w istocie realizowali plan Freemana. Freeman zaaranżował szept mumii licząc na to, że profesor Yarborough da się namówić na jej wypożyczenie. Gdy te wszystkie zabiegi zawiodły, wynajął Harry'ego i Joego, żeby ukradli mumię z sarkofagiem. Przywożąc mu tylko mumię, doprowadzili go niemalże do szału, bo jemu przecież zależało właśnie na skrzyni.

- Tak - dodał Bob - dostarczyli mu mumię akurat wtedy, kiedy wraz z Juve'em i profesorem Yarboroughem byliśmy u profesora Freemana na przesłuchaniu taśmy. Worthington by ich zauważył, gdyby nie to, że musiał zaparkować o sto metrów dalej. Profesor Freeman wrócił do nas wtedy z napojami chcąc, między innymi, tym usprawiedliwić swoją nieobecność. Musiał wysłać ich z powrotem po sarkofag i dlatego przetrzymał nas tak długo, przesłuchując wielokrotnie taśmę. Musiał im dać czas na kolejną kradzież. To on też wpadł na pomysł, żeby użyć maski głowy szakala na wypadek, gdyby natknęli się na Wilkinsa.

- Nie można nie przyznać Freemanowi sprytu - powiedział pan Hitchcock. - Ale wy, chłopcy, okazaliście się równie sprytni, decydując się na śledzenie złodzieja w tak niezwykłym ukryciu, jakim jest sarkofag. Nie wiem jednakże, jak to się stało, że Pete i Bob znaleźli się na miejscu dokładnie w momencie, w którym ty, Jupiterze, złapałeś profesora Freemana w pułapkę i kiedy właśnie najbardziej potrzebowałeś ich pomocy.

- Może ty opowiesz, Pete - zaproponował Jupiter.

- Bardzo chętnie! - ożywił się Pete. - A więc, kiedy zgubiliśmy niebieską ciężarówkę, doszliśmy do wniosku, że winowajcą jest Achmed. Pojechaliśmy szybko po profesora Yarborougha i już z nim pospieszyliśmy do domu Achmeda. Ale Achmed żegnał się właśnie z jakimiś kupcami dywanów i był szczerze zdziwiony tym, co od nas usłyszał. Nie mieliśmy wątpliwości, że on jest niewinny. Zdecydowaliśmy się zawiadomić policję. Ale przed tym profesor Yarborough chciał porozmawiać ze swoim przyjacielem, profesorem Freemanem i poradzić się go, jak najkorzystniej przedstawić sprawę policji. Tak więc...

- Pozwól, że zgadnę, co było dalej - przerwał mu Hitchcock. - Ruszyliście wszyscy do domu profesora Freemana, a tam przed garażem stała niebieska ciężarówka. Kiedy złodzieje telefonowali do niego z drogi, polecił przywieźć sarkofag wprost do domu, gdyż był sam i

nikogo się nie spodziewał. Czyli, dzięki temu, że profesor zapragnął rady przyjaciela, znaleźliście się na miejscu we właściwym czasie.

- Tak jest - przytaknął Jupe. - Harry i Joe zostali aresztowani. Okazało się, że mają niezłą przeszłość kryminalną. Profesor Yarborough stara się wyciągnąć z kłopotów profesora Freemana. Próbuje przekonać władze, że nie jest on zawodowym przestępcą i prawdopodobnie będzie odtąd żyć uczciwie. Tymczasem profesor Freeman zrezygnował ze swojej funkcji na uniwersytecie i pragnie udać się na Środkowy Wschód, żeby pracować tam dla ONZ wykorzystując znajomość języków. Profesor Yarborough ma zamiar odesłać klejnoty do Egiptu. My oddaliśmy Sfinksa pani Banfry, a Achmed z Hamidem powrócili do Libii. Byli zadowoleni, że oszustwo zostało w porę wykryte. Hamid obiecał nam przesłać orientalny dywan, wykonany specjalnie dla naszej Kwatery Głównej, ze znakiem zapytania we wzorze. No, myślę, że to już wszystko.

- Z wyjątkiem jednego - oczy pana Hitchcocka zabłysły zaczepnie:

- JAK SZEPCZE MUMIA?

- Ach, to - Jupiter uśmiechnął się. - Brzuchomówstwo. Tak jak sugerował ojciec Boba.

- Ale zgodnie z tym, co dopiero czytałem - zaprotestował reżyser - brzuchomówcy nie mogą wykorzystywać swoich umiejętności na większą odległość. Mimo że niektórzy ludzie w to wierzą. Brzuchomówca mógłby stworzyć wrażenie, że mumia mówi, tylko wtedy, gdyby stał blisko niej.

Pete i Bob spojrzeli na siebie znacząco. Zawsze wierzyli, że brzuchomówca może swój wewnętrzny głos przekazywać na odległość. Jupiter lekko skinął głową.

- Tak - powiedział. - Ale profesor Freeman mógł to zrobić na odległość. Widzi pan, on zawsze znajdował się tak daleko od muzeum, że z początku wykluczyłem go spośród podejrzanych. A nie powinienem, ponieważ, jakby nie było, władza wieloma wschodnimi językami i kto jak kto, ale on właśnie mógł szeptać ustami mumii w staroarabskim.

Nie podejrzewałem go dotąd, dopóki nie odkryłem, że kot został przefarbowany. To nasunęło mi wątpliwości co do Sardona, bo w końcu to on mówił o kocie. Zacząłem się zastanawiać, czy Sardon był naprawdę żebrakiem, czy kimś w przebraniu. A jeśli miał to być ktoś ucharakteryzowany na jasnowidza, to mógł nim być tylko profesor Freeman, bo jego ojciec pracował z profesorem Yarboroughem i wiedział o mumii. W całej tej historii tylko Freeman mógł rozmawiać swobodnie z panem Hamidem i mówić różnymi językami w tym niby-transie.

- Świetne rozumowanie - pochwalił go pan Hitchcock - ale wciąż nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Nie, ale już do niego przechodzę. Jako ekspert od wymowy, profesor Freeman doskonale orientował się w użyciu różnego rodzaju mikrofonów i urządzeń nagrywających. Sądzę, że jest panu znane użycie parabolicznych mikrofonów odpowiednio skierowanych, które mogą przekazywać dźwięk na odległość setek metrów.

Twarz Alfreda Hitchcocka rozjaśniła się.

- Oczywiście - powiedział - mów dalej.

- Tak więc, są również kierunkowe głośniki, które skupiają głos, wysyłając go na odległość setek metrów. W ten sposób, że może być słyszalny tylko w jednym miejscu. Profesor Freeman ma taki głośnik na swoim balkonie. Jego dom na stoku jest dokładnie naprzeciwko domu profesora Yarborougha, w odległości około stu metrów. Profesor Freeman nagrał więc na taśmę tekst w języku przypominającym staroarabski. Patrząc w teleskop wiedział, kiedy profesor Yarborough pracował nad swoją mumią w muzeum przy otwartych oknach. Jak wiemy, nie znosi zamkniętych pomieszczeń. Wtedy Freeman włączał taśmę i przesyłał dźwięk przez dolinę do miejsca, w którym mógł być słyszany przez kogoś stojącego bardzo blisko mumii.

Jupiter przerwał, ale widząc, z jaką uwagą słuchają go przyjaciele, zadowolony mówił dalej:

- Profesor Freeman stosował swój trik tylko późnym popołudniem, kiedy widział, że profesor Yarborough jest w sali sam. Było tak nawet wtedy, kiedy to ja przebrałem się za profesora. Tak więc odnosiło się wrażenie, że mumia rozpoznaje profesora Yarborougha i nie mówi do nikogo innego poza nim. Kiedy profesor Freeman zgodził się przyjechać i przyjrzeć mumii, założył taśmę przed opuszczeniem swojego domu. Nastawił aparat tak, że szept było słychać, kiedy Freeman jechał do domu Yarborougha. Natomiast ustał akurat wtedy, kiedy Freeman tam dotarł. Zabezpieczył się przed podejrzeniami w każdy możliwy sposób.

- Tego wieczoru, kiedy Harry i Joe kradli mumię wykorzystując też maskę szakala, profesor Freeman znalazł pretekst, żeby wyjść z pokoju, w którym byliśmy razem, wbiec na piętro i mówić do mikrofonu podłączonego do głośnika, który był skierowany na Wilkinsa. Wiedział, że to przerazi starszego pana aż do omdlenia. Tak więc, jak widzicie, był to w pewnym sensie rodzaj bruchomówstwa.

- Niewiarygodne - powiedział powoli Alfred Hitchcock. - A więc Sfinks został zwrócony pani Banfry, mumia przestała szeptać, klejnoty wracają do Egiptu i tajemnica rozwiązana jest w całości. Jestem bardzo ciekawy, czym będziecie się teraz zajmować.

Bob wyciągnął z kieszeni małą kartkę.

- Więc - powiedział - mamy cały szereg możliwości. Jest na przykład...

- Zmieniłem zdanie - przerwał mu pan Hitchcock. - Wolę, żebyście mnie zaskoczyli. Życzę wam powodzenia do czasu naszego następnego spotkania. Na razie muszę sam popracować nad pewną tajemniczą sprawą.

Po wyjściu chłopców Alfred Hitchcock zerknął jednak na kartkę, którą chłopcy zostawili na biurku. Wbrew temu, co powiedział, ciekaw był, jaka to przygoda czeka teraz Trzech Detektywów. W każdym razie na pewno okaże się niezwykła.

Co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości.